KATARZYNA

GROCHOLA

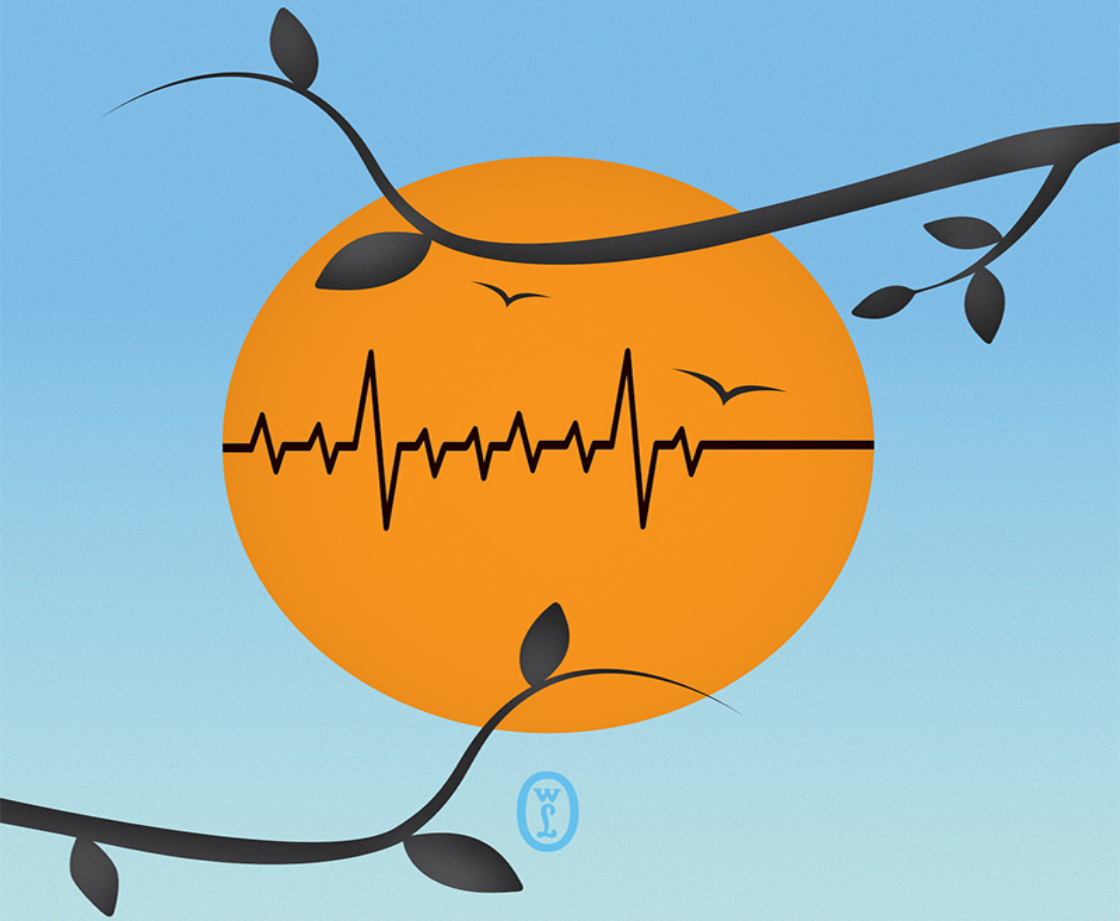

Miłość w cieniu słońca

KATARZYNA

GROCHOLA

Miłość w cieniu słońca

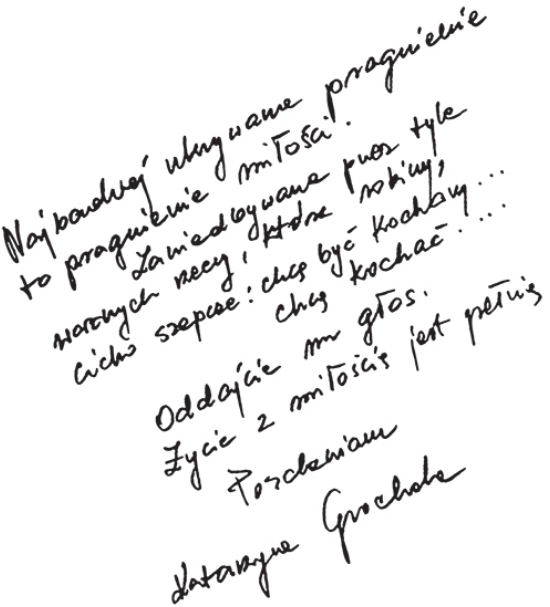

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Dedykacja

MIŁOŚC W CIENIU SŁOŃCA

Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK
Redakcja: MARIA ROLA
Korekta: HENRYKA SALAWA, JOANNA ZABOROWSKA, JACEK BŁACH
Opracowanie graficzne: Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN
Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ

Cytaty wierszy Emily Dickinson (na s. 46, 100, 117, 218) za wydaniem: *100 wierszy*, przeł. Stanisław Barańczak, Kraków 1990.
Cytat z wiersza Walta Whitmana (na s. 26 i 28) za wydaniem: *Complete Poetry and Selected Prose*, Boston 1972.

© Copyright by Anna Katarzyna Grochola
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2023

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07843-3

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
tel. (+48 12) 619 27 70

Konwersja: eLitera s.c.

Oli – z miłością

CHCIAŁBYM SOBIE PRZYPOMNIEĆ wszystko, kawałek po kawałku, nie zważając na to, że być może nie mam już czasu, chciałbym niespiesznie móc przywołać wszystkie myśli, wszystkie dotyki, wszystkie pocałunki, chciałbym, żeby noce i dni zaświadczyły teraz o niespotykanej sile, która mogła latami drzemać w ukryciu, ale wyszła w końcu na światło dzienne, karmiona samotnością i niepokojem,

sile, która każe mi sięgnąć w przeszłość jak w stary worek, na którego dnie poniewierają się moje wspomnienia – czas je otrzepać, zanim stracę ostatnie chwile światła i zapadnie ciemność.

Sile do miłości.

Zanim zapomnę. Nie chcę zapomnieć.

Sile wyboru.

Wybieram pamięć.

WYBIERAM CIEBIE, moja kochana.

ŻEBY TO WSZYSTKO UPORZĄDKOWAĆ przed końcem, muszę zacząć od początku i jakoś ogarnąć całość. Nigdy nie umiałem ogarniać całości, tylko kawałki, odpryski, ułomki, części i cząstki, większe i mniejsze. W tym byłem zawsze dobry jako dorosły mężczyzna; dzieciństwa nie wliczam w swoje życie, zawsze było osobną częścią, której prawie nie pamiętam, a to, o czym nie pamiętasz, przestaje istnieć.

Oczywiście nie od razu, nie od pstryknięcia palcem i wypowiedzenia pobożnego życzenia, z niepamięcią dzieje się tak jak ze wszystkim – z czasem, krok po kroku, wspomnienia tracą barwy, głos staje się ledwie słyszalny, niezauważalnie postępuje starzenie się materiału – w sensie dosłownym – bierzesz do ręki coś, co było kolorowym, delikatnym jedwabiem, a trzymasz – butwiejący kawałek szmaty.

Stęchły pył, który tylko zostawia na twoich palcach zapach zgnilizny i przemijania.

CHCIAŁEM COŚ OCALIĆ pomimo bólu. Ale powinienem być krawcem, żeby pozszywać te strzępki swojego życia i nadać im kształt, jakikolwiek. I to bardzo, bardzo dobrym krawcem.

A tymczasem wydłubuję z pamięci z wielkim trudem to, co jak myślałem, wryje się tam na zawsze i nigdy nie ulegnie zniszczeniu.

Niektóre rzeczy jeszcze błyszczą, jeszcze twarze są żywe, jeszcze uśmiechy powalające, ale większość już jest cieniem, który usuwam z olbrzymim trudem, żeby wydobyć po raz ostatni to, co dla mnie najważniejsze. To, co mogę przeciwstawić umieraniu.

NIE WIEM, ile jeszcze zostało mi czasu, żeby cię ocalić, zanim znikniesz i nie będę miał do ciebie dostępu.

Czuję, jak mi się wymykasz, zatrważająco szybko, tracę cię z sekundy na sekundę, przeciekasz mi przez palce jak krew tryskająca z otwartej rany.

Nie mogę zrobić nic, mam do dyspozycji tylko przeszłość, swoją pamięć, i tylko tak mogę cię uleczyć, wyrwać cię śmierci.

Nawet nie wiem, czy mnie jeszcze słyszysz.

Czuję nadchodzącą ciemność, jest chłodna i zatapiasz się w niej jak w głębokim jeziorze.

Może jest już za późno? Powieki już się nie poruszają, ciężkie jak kamień. Tak mało nadziei… Ale nie potrafię się poddać, muszę spróbować… wszystko… ostatni raz… od początku.

NIE MA POCZĄTKU

i dlatego tak trudno,

jakby początek nie istniał,

nie pojawił się.

Zaczęło się od końca.

Od razu było wszystkim.

Nie było początku.

Nie pamiętam czasu, kiedy jej nie było.

A muszę sobie przypomnieć. Nie mogę nic zgubić.

Nie było mnie, dopóki ona się nie pojawiła.

Przedtem nie wiedziałem, że mnie nie ma.

Chodziłem. Siadałem. Wstawałem. Chodziłem znowu. Prawdopodobnie oddychałem. Może nawet jakieś kobiety…

Tak, tak mogło być.

Ale nie pamiętam.

Musiałem jeść, pić, wydalać. Może pracowałem. Mogłem nawet czytać. Coś. Czasem.

Ale nie jestem pewien.

Nie wiem, czy przedtem był jakiś świat.

Może, a może nie,

raczej na pewno nie,

nie było świata,

przedtem mówili: „nie dotykaj, bo zepsujesz”,

nie dotykałem,

nie psułem.

Ale tego dnia

Ona

…i na chodniku obok niej, tuż obok, czerwone auto z otwartymi drzwiami,

a na siedzeniu obok kierowcy mężczyzna w zielonej bluzie, z papierosem w kąciku ust, nachylony lekko do przodu, grzebał w schowku,

papieros w ziemię szedł, a dym do góry, w oko, wykrzywiał mu twarz.

Ona

…a naprzeciwko niej, tuż przy krawężniku, niewysoka kobieta z wózkiem dziecięcym,

wózek na jezdnię prawie wysunięty, wózek szaroniebieski, wygodny, duży, a dziecko w nim małe, różowe, lepkie od przyszłości.

I ona

…a przy latarni na zielonej smyczy rudy pies, pies zwierzę, ogon podkulony, ale jakoś sprężony w stronę drzwi sklepu, jakby polował na królika, czujny, jakby na królika odważny, a jednocześnie przestraszony z tym ogonem podkulonym – jakby na dzika.

Więc pies czujny z przodu, a przestraszony z tyłu, podwójny pies w oczekiwaniu.

I ona w oczekiwaniu.

I autobus, i ludzie

wysypywani z autobusu niedbale,

oni wszyscy słuchawki na uszach, oni wszyscy telefony w rękach.

Ona nie,

ona wolnoręczna stała, gotowa,

stworzycielka nieba i ziemi.

Radosna.

A oni obok,

wszyscy ręce zajęte,

puste od innych ludzi.

Zajęte torbami, torebkami, telefonami, czynnościami swoimi ksobnymi, ze wzrokiem gdzieś w nic wpatrzonym.

I ona

nieruchoma,

jak ze spiżu, z marmuru, z granitu, odlana idealnie w kamieniu, z aureolą jaśniejącą,

i oni

szybcy – w ruchu – w niepokoju – w roju – w przemieszczaniu,

a ona

szczęśliwa,

w tęsknocie,

stała tam od zawsze i czekała.

Czekała na mnie.

– PAMIĘTASZ, jak się zobaczyliśmy pierwszy raz?

Boże, czy ja pamiętam?

Mógłbym dziś dotknąć każdej chmury i nadać jej kształt z przeszłości, i poczuć zapach psiej sierści, słońce świeciło, psy na słońcu mają inny zapach, ten dym z papierosa narysować mógłbym i kącik ust mężczyzny z papierosem podniesiony do góry, przytrzymujący tego papierosa, wygięte nienaturalnie usta, przymrużone jedno oko, mógłbym.

– Pamiętasz, co pomyślałeś, jak mnie zobaczyłeś?

Pamiętam, jak płyty chodnikowe stwardniały pod jej stopami i świat się tworzył, matka z dzieckiem się stworzyła, dziecko pamiętam.

– Miałeś taki dziwny wyraz twarzy.

Walizkę przy jej nogach pamiętam, ale myśli nie. Puccini. I złota tabliczka. I cztery kółka. I złota rączka. Brak ruchu, tylko oczekiwanie.

– I wyglądałeś, jakbyś w ogóle mnie nie widział.

Nie widziałem nic prócz ciebie, ale przez ciebie, dzięki tobie ulica się zrobiła i samochód, i wózek, i dziecko, i smycz, i latarnia, i sklep, i ludzie, autobus, chmury, świat się stworzył nagle,

nie było wcześniej nic,

niemy film to był i czarno-biały dotychczas.

Jak jej to powiedzieć?

– MÓJ KOCHANY, pamiętasz?

Jej ramiona pachną, jej pachy czekają na mój dotyk, otula mnie ramionami, opuszczam głowę i zamykam oczy, tonę w jej zapachu.

– Powiedz, powiedz, pamiętasz?

Oddycham nią, biorę ją w swoje płuca i wypełniam się nią całkowicie, pamiętam, bo urodziłem się tam wtedy, na tej ulicy.

– I taki byłeś jakiś…

– Jaki?

– …nieobecny…

Nieobecny.

Bo z nieobecności powstawałem tam, przy samochodzie, którym przyjechałem po kobietę swojego przyjaciela.

GDYBYM WIEDZIAŁ, że to początek, zmusiłbym pamięć do pamiętania każdego słowa, każdego szczegółu z przedtem, nawet koloru krawatu Harry'ego – mojego przyjaciela.

Nazywałem go tak jeszcze, bo on tak mnie przedstawił – nikt inny tak o mnie nie mówił – więc skoro ja byłem jego przyjacielem, on był moim.

Staliśmy na chodniku przy wystawionych wysokich stołach, przy których można tylko stać, piliśmy piwo, dwaj mężczyźni w garniturach po godzinach, późny lipcowy wieczór, spotkani w windzie przypadkowo, a parę razy widzieliśmy się na rautach firmowych, tym razem nieznośny upał gotował powietrze poza klimatyzowanymi biurami, więc w tej windzie powiedział nagle:

– A może byśmy na piwo poszli, upał taki...

I poszedłem z nim na piwo. Staliśmy przy tym stole na wysokiej pojedynczej nodze wysuniętej na chodnik, kiedy do Harry'ego zamachał ktoś od baru. Harry wyprostował się, uśmiechnął i przywołał gestem nieznajomego, a ten ruszył w naszym kierunku z chwiejną poduszką piany w kuflu, już z daleka wyciągał rękę, miło cię widzieć, a potem spojrzał na mnie – i wtedy Harry powiedział:

– To mój przyjaciel Andrew.

Uścisnęliśmy sobie ręce, spocone i zmęczone, stuknęliśmy się kuflami, a ja dostałem przyjaciela w tym gorącu.

Gdybym wtedy wiedział o Harrym to, co wiem dzisiaj, wszystko byłoby inne, ale nie wiedziałem. Nie wiedziałem nic, więc nie przywiązywałem wagi do niczego, jak zwykle.

Niekiedy dzień bywa po to, żeby go przeżyć.

I kiedy Harry wpadł do mojego pokoju na szesnastym piętrze, niespodziewanie, rano trzy dni później, z prośbą, dziwną, nie mogłem odmówić. Bo nie odmawia się przyjacielowi.

– Wiesz, no, po prostu, nie mogę, niestety. Obiecałem, ale nie mogę. Zrobisz to dla starego kumpla? Podrzuć ją po prostu na lotnisko, bez zbędnego tłumaczenia.

Nigdy nikogo nie tłumaczyłem, nie mówiłem zbędnych słów ani zdań, niewiele mówiłem. Po co mówić? Świat bardzo dobrze sobie radził bez niepotrzebnych wyrazów.

Nie musiał tego powtarzać – to było jasne jak słońce.

Mgła całe rano, a on nie mógł jej odwieźć, a obiecał, więc obietnicą stałem się ja – podrzuć ją na lotnisko, nie wyrwę się... jednak nie wyrwę się, a to taka niezręczna sytuacja.

Nie musiałem pytać – dlaczego, po co, kto to jest, kim jest dla niego – to były informacje zbędne.

On nie powiedział, dlaczego, po co, kto to będzie, kim jest dla niego – to nie była moja sprawa.

– Będzie przed hotelem czekała. Stała tam będzie. – Wyciągnął zdjęcie, niewielkie, z automatu ulicznego, i podał mi ten kartonik.

Spojrzałem, zapamiętałem.

Wyciągnąłem do niego rękę, chciałem oddać ten mały kwadracik twarzy – machnął dłonią w powietrze, że nieważne.

– Zatrzymaj, nie jest mi już potrzebne.

Więc schowałem do kieszeni.

Machinalnie.

PODJECHAŁEM POD WEJŚCIE do hotelu. Lubiłem ten hotel. Środek miasta i znakomita kuchnia. Na lotnisko niedaleko.

Stała tam.

Zatrzymałem samochód i w ciągu tych paru sekund, między otwarciem okna i moim pytaniem – stworzyły się morza i góry, miasta i jeziora, wioski, samochody, ten hotel i przede wszystkim ja.

Ona jaśniała.

Wszystkie światła świata tego pochmurnego dnia biły z jej twarzy, z jej oczu, zielonkawoszarych, z jej spojrzenia.

Nie zwróciła uwagi na mój samochód, wypatrywała czegoś, czego ja nigdy nie doświadczyłem, ale miała to wypisane na twarzy.

Otworzyłem okno i wychyliłem się przez siedzenie pasażera.

– Przepraszam, czy to pani Harriet?

I nagle światło zgasło w jej oczach, nagłe zrozumienie i żal, i ja – przyczyna tej ciemności.

Ktoś zrzucił zasłonę i ściągnął z niej to wszystko piękne. Albo zarzucił i zakrył.

– Pan od Harry'ego?

Może kiwnąłem głową.

Ja, pan od Harry'ego.

Bezimienny przecież.

Wysiadłem z samochodu, podszedłem do bagażnika, nacisnąłem zamek, otworzył się bezszelestnie. Wtedy dopiero zrobiłem parę kroków w jej kierunku…

– On nie mógł?

Patrzyłem na nią i widziałem, jak się kurczy, jak coś w niej zasusza się, tężeje, obsycha i więdnie.

Nie odpowiedziałem.

– Nie mógł – powtórzyła i ja stężałem również.

Nie mógł.

Tyle tam bólu.

Ostry.

Odarłem ją z nadziei.

Stwierdzenie o zgonie, które podpisałem właśnie, pojawiając się tam zamiast niego.

Więc to tak wygląda zabijanie. Można zabijać nawet swoim pojawieniem się.

– Tylko ta walizka? – zapytałem i być może nawet wskazałem dłonią na bagaż.

– Ona i ja – odpowiedziała, a świat obok stężał również.

W milczeniu jechałem na lotnisko.

W ciszy.

W żałobie.

Na pogrzeb jechałem z wdową.

Prowadziłem, wpatrzony w drogę przed sobą, a kątem oka w lusterku widziałem ją, sczerniałą i pobladłą. Nie mogłem przywrócić tamtej świetlistości – i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Nie znajdowałem słów, żeby ją pocieszyć, a tak chciałem, żeby wróciła tamta ona, ta stworzona z niewiadomego, ale żywa.

Więc milczałem.

A ona zaczęła płakać.

Płakała prawie bezgłośnie.

A ja jechałem.

Byłem szoferem, kierowcą wynajętym, nie mnie to dotyczyło, a tak mnie dotykało. Z tyłu, w plecy, raniło ostro, z każdą jej łzą krew ze mnie wyciekała, słabłem.

I tak dojechaliśmy.

– Niech pan mnie odprowadzi – poprosiła cicho – niech mnie pan nie zostawia…

Zaparkowałem w niedozwolonym miejscu, kaleka przekreślony żółtymi pasami pod kołami mojego samochodu, niosłem za nią walizkę, jakbym trupa niósł.

Ludzie kłębili się pod tablicą informacyjną:

Cancelled. *Cancelled*. *Cancelled*.

– Możemy pani zaproponować hotel, loty są odwołane.

Spojrzała na mnie.

U mnie szukała ratunku?

– Nie polecę?

– Proponują hotel, wszystkie loty odwołane – powtórzyłem. – Może zadzwonię do Harry'ego?

– Niech pan się nie waży – powiedziała. – Niech mnie pan odwiezie z powrotem, tylko odwiezie.

Siadła tym razem z przodu, ale w dalszym ciągu jakbym był taksówką, jakby była moją klientką, jakby nie była kobietą mojego przyjaciela, który przestawał być moim przyjacielem z każdym kilometrem i z każdym skurczem jej pięknych ust.

NIGDY NIE ZAPYTAŁEM, gdzie wtedy chciała polecieć. Ale po tym pierwszym spotkaniu wiele razy sobie to wyobrażałem, zgadywałem, przesuwałem palcem po niewidzialnej mapie świata, jakbym szukał dla niej właściwego miejsca, szczęśliwego miejsca.

Czy wyobrażałem ją sobie tam, gdzieś, z tą jej walizką, ale bez jej rozpaczy i tęsknoty?

Nie wiem.

Każdy ma takie miejsce. Ukryte miejsce, które istnieje i nie istnieje jednocześnie, perła, której szukasz całe życie i nie możesz znaleźć, dopóki się nie dowiesz, że przecież przez cały czas niosłeś ją w sobie.

Jaką stratę ona przykrywała łzami?

– PAMIĘTASZ, jak jechaliśmy z lotniska? Wiedziałeś wtedy, że...

Czy pamiętam?

Wiem, na których światłach stałem i czekałem na zielone,

wiem,

kto przechodził na pasach przy bazarze,

wiem,

który samochód zajechał mi drogę i który nie włączył migacza.

Mogłem odtworzyć każdy metr drogi powrotnej.

Nic jeszcze nie wiedziałem.

I wiedziałem wszystko.

Wszystko oprócz tego, co miało nastąpić.

KAWA.

Piłem kawę wcześniej, na pewno. Nie mogłem nie pić. Wstawałem rano i nastawiałem wodę. To była pierwsza czynność przecież z tamtego świata, w którym jej jeszcze nie było.

Kawa.

Ona pachnie.

Ona smakuje, goryczka lekka na języku i głębiej.

Ona domaga się wody potem. Żeby opłukać się z kawy, ta resztka drapie gardło.

Papieros, koniecznie.

Śniadanie? Czasem, w drodze do pracowni. Na lunch. Też. Sam. I nie sam.

Seks tak.

Nieczęsto. Jeśli bardzo nalegała. Ulegałem.

Przyjemny. A czasem nie.

Ona lub inna ona, lub tamta. Lub ta. Lub.

Wydzielało się coś w rodzaju zadowolenia, odprężenie jakieś, tak, przyjemne. Chwila.

Ona, ta, tamta, jakakolwiek potem, odchodziła. Lub ja.

W porządku.

POMIDORY.

Bez dodatków.

Do mięsa pomidory.

Małe, czerwone, okrągłe.

Żółte pomidory były podróbkami pomidorów. Fałszywe.

Jeśli ryby – to całe.

Żebym widział. Nie kawałek, nie część, nie polędwiczka, płetwa, pęcherz, nie wątróbka. Nie rozkawałkowana rzeczywistość rybia. Nie kotlet, nie paluszek, nie cząstka. Ona cała. Pieczona najczęściej.

Jedzenie?

Tak, musiało chyba istnieć wcześniej, bo nie żyłbym. A żyłem.

Wszystko to było przedtem?

AMUZJA.

Niezdolność do usłyszenia muzyki. Niemożność zrozumienia i poczucia tego, co się słyszy. To obojętność na muzykę. To nie choroba, to brak.

Ale człowiek nie ma poczucia braku trzeciej ręki albo trzeciej nogi. Ja nie czułem braku.

To było szczęście?

Nie pragnąć.

Amuzja.

Nie byłem chory na amuzję, lubiłem muzykę, miałem ponad tysiąc płyt w domowym archiwum, byłem chory na anhedonię, na obojętność.

I nie wiedziałem o tym.

Więc byłem szczęśliwy.

WIĘC DROGA z lotniska z powrotem do hotelu.

Siedziała i znowu płakała.

Nie wiedziałem, dlaczego płacze.

To, że Harry nie odwiózł jej na lotnisko, wydawało mi się powodem raczej ułomnym i nieadekwatnym do tej rozpaczliwej żałości, która wylewała się nawet na mój fotel kierowcy. Ta żałość była nietamowalna. Histeryczna była ta żałość. Nie mówiłem nic, bo nie wiedziałem, co powiedzieć.

Nie mógłbym powiedzieć nic pożytecznego.

Ani nawet – ale o co chodzi.

Ani nawet – przecież nic się nie stało.

Ani nawet – przecież to nie koniec świata.

Więc tylko prowadziłem z powrotem do centrum, na Regent St.

Prowadziłem.

Kierowałem.

I chociaż widziałem wszystko po drodze, nie widziałem nic oprócz jej niespokojnych dłoni, które zaciskała, jakby chciała zedrzeć skórę raz z jednej, raz z drugiej...

A ona płakała.

A potem zatrzymałem się przed hotelem.

Wyszedłem z auta, wyjąłem z bagażnika jej walizkę i czekałem, aż się pozbiera, aż wytrze oczy i usta, i nos, i policzki, i udawałem, że nie widzę tuszu na twarzy, wszędzie.

Czekałem.

Nie miałem nic do zrobienia.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Harry'ego i nie powiedzieć mu, gdzie ją odwiozłem rzeczywiście – ale zrezygnowałem z tego pomysłu równie szybko, jak szybko się pojawił.

To była sprawa między nimi.

Otworzyłem drzwi i czekałem.

W końcu wysunęła nogę, badając grunt, jakby nie wierzyła, że coś stałego tam będzie, tam, poza moim samochodem, a potem stanęła przede mną i spojrzała mi prosto w oczy.

– Dziękuję – powiedziała.

A ja nie wiem, za co mi podziękowała.

– Proszę – odrzekłem.

Stała tam przede mną i nie sięgała po walizkę.

Po prostu stała.

– To tutaj – powiedziałem informująco i kompletnie niepotrzebnie.

– Tak – potwierdziła.

Chciałem ją zapytać, dlaczego płacze, ale byłoby to nierozsądne.

PIERWSZE „DLACZEGO" pojawiło się dopiero przy naszym drugim spotkaniu. Bo wtedy, po powrocie z lotniska, tam, na ulicy, przed hotelem, stała i ja też stałem.

Chociaż chciałem jechać już, nie miałem tam nic do zrobienia.

Nie miałem nic do powiedzenia.

Nie miałem nic do przemilczenia.

Nic nie było moją sprawą, najmniej ta histeria, wywiązałem się z obietnicy i teraz już mogłem pojechać, ale nie mogłem, bo ona stała i ja stałem, milcząc.

– To tutaj.

– Ten hotel.

– Dziękuję.

– Pomogę z walizką.

– Nie trzeba, ma kółka.

– To – „do zobaczenia" nie mogło mi przejść przez gardło – to chyba wszystko.

– Ma pan telefon?

Wyciągnąłem z kieszeni telefon i podałem.

– Oczywiście, jasne.

– Nie, nie chodzi o aparat, chodzi o pana numer…

– Mój? – Nawet nie przeszło mi przez myśl, żeby się zdziwić.

– Nie mogę już zadzwonić do Harry'ego, ale gdyby się coś stało, to… teraz mam tu tylko pana… nikogo więcej…

Podyktowałem swój numer, wpisała w komórkę.

– Jak pan ma na imię?

– Ja? Andrew…

– Tylko Andrew? A dalej?

– Whitman.

– *Whoever you are, without one thing all will be useless* – powiedziała i zniknęła w obrotowych drzwiach. I jeszcze wtedy nie wiedziałem, że to ten inny Whitman.

Że to przepowiednia.

MAM TYLKO PANA.

Mam tylko pana.

Gdyby się coś stało.

Chciałem, żeby się coś stało.

WTEDY NIE STAŁO SIĘ NIC.

Wróciłem do biura.

Harry wpadł na moment i tylko zapytał, czy była pod hotelem. Ale nie zapytał o nią. Tak bezosobowo zapytał, jak się pyta, czy są cytryny hiszpańskie.

Są.

Nie ma.

Będą.

Pytasz, czy są, ale nie pytasz o to, jak pachną, jak smakują, jak wyglądają, czy miały ten charakterystyczny ostry zapach z domieszką pomarańczowego?

Były chropawe w dotyku czy gładkie?

Przyjemne dla dłoni, leżały jak ulał?

Nie pytasz o cytryny, pytasz o towar z Hiszpanii.

On zapytał o towar.

Podziękował za pomoc, bąknął coś o niezręcznej sytuacji, o której, ma nadzieję, już zapomniałem.

Jakby prośby o odwiezienie na lotnisko jakiejś kobiety, która będzie stała na Regent St., nigdy nie było.

I wyszedł, i nie było miejsca na mnie, na odwołany lot, na nią. Na nic. Nawet gdybym chciał coś dodać, chociaż nie chciałem. Wszystko zajęte zostało przez krótkie „dzięki, zapomnij, niezręczność".

WIECZOREM WRÓCIŁEM DO SIEBIE.

Miałem nogi i ręce i mogłem ich użyć inaczej niż zwykle.

Ale jeszcze nie wiedziałem jak.

Nogi zgiąłem w kolanach i usiadłem.

Ręce położyłem obok, na oparciu fotela.

Głowę oparłem o podgłówek. Czułem na szyi szorstkość obicia.

I tak siedziałem.

MINĄŁ ROK ALBO WIĘCEJ.

Jesień, zima, wiosna i lato.

Kończyło się właśnie lato. Kiedy zadzwoniła.

– Halo?

– Whitman, słucham.

– Halo?

– Tak, słucham – powiedziałem, ale coś mnie musiało zaniepokoić w tym głosie nierozpoznanym, bo serce na moment mi przyspieszyło.

– Whoever you are, without one thing all will be useless – usłyszałem w słuchawce.

– Harriet?

– Więc pamiętasz mnie? – I wtedy po raz pierwszy usłyszałem jej śmiech. I nagle byliśmy na ty, odległość między nami skurczyła się, jakby przez ten rok, kiedy się nie widzieliśmy, jednak coś się między nami działo.

– Tak – powiedziałem.

– Możemy się zobaczyć?

Milczałem.

– Halo?

– Tak, słucham.

– Jeśli to pytanie jest dla ciebie niewygodne, powiedz. Albo odpowiedź jest niewygodna…

– Czy coś się stało?

– Nie. Po prostu… chciałam się z tobą spotkać.

– Gdzie mam być?

Roześmiała się znowu.

– To ja pytam, gdzie ja mam być. Jeśli chcesz, oczywiście. Nie bój się, nic od ciebie nie chcę. Dziś, jutro?

– Mogę dzisiaj – powiedziałem wbrew sobie.

– Podjedziesz do hotelu? Ten sam… Czy jesteś daleko?

– Dobrze.

– Siódma?

– Dobrze. – Rozłączyłem się.

TO NIEPRAWDA, że się rozłączyłem.

Przyłączyłem się do czegoś nieznanego.

Stanęła przede mną jak żywa.

Jakbym miał wybity jej wizerunek na meblach, ekranie telewizora, książkach – jakby on tam był od roku, tylko tego nie mogłem zobaczyć, a teraz starłem niespodziewanie kurz i zobaczyłem to, co pod spodem. A pod spodem wszędzie ona.

Ona.

Na pewno chciała wiedzieć, co z Harrym, a Harry wyjechał do Mediolanu z żoną blisko rok temu. Nie miałem od niego żadnych wieści poza dwoma krótkimi mejlami – żebym w Lloyds Banku coś dla niego sprawdził i pytaniem, czy wybieram się do Włoch, jeśli tak, to chętnie się ze mną zobaczy.

Nie wybierałem się do Włoch.

Błąkałem się po pustyni.

Tylko jeszcze wtedy o tym nie wiedziałem.

ONA.

Wyglądała tak samo jak rok temu, stała oparta o biały murek.

Wyciągnęła do mnie rękę – ale czekała na moją inaczej niż rok temu na Harry'ego.

Bo nie czekała.

Po prostu stała.

Nie trwała w oczekiwaniu, nie jaśniała, po prostu była tam, jak drzwi obrotowe, jak ściana sąsiedniego budynku, jak pasy na jezdni.

– Witaj – powiedziała, i dotknąłem jej głosu, tak innego niż ten, który pamiętałem od roku.

– Dzień dobry. – Potrząsnąłem jej dłonią nieco za mocno, zbyt służbiście, a ona patrzyła mi w oczy bez zażenowania, już bez błagania o koło ratunkowe.

I zamilkłem.

– Dlaczego mnie nie zapytasz, dlaczego chciałam się z tobą spotkać?

To właśnie było jej pierwsze „dlaczego". I jednocześnie drugie, w tym samym zdaniu.

KROPLE ZIMNEJ WODY kapały mi na twarz, zadrżałem.

Uchyliłem powieki, ale słońce świeciło mi prosto w oczy. Stała nade mną mokra w tym upale i powoli wyżymała z włosów słoną wodę prosto na mnie. Krople tej wody jak sople wbijały się we mnie.

Chwyciłem ją za uda, upadła na mnie, zimna jak trup, zjeżyła mi całe ciało, chwyciłem ją mocno i przycisnąłem do brzucha, piersi, nóg, owinąłem się nią, wilgotną i chłodną, moje ciało ogrzewało ją, a jej ciało chłodziło mnie, byliśmy na krańcach dwóch różnych galaktyk, była dniem, a ja byłem nocą,

dopóki nie zaczęliśmy w jednym rytmie oddychać, a woda spomiędzy nas nie wyparowała i nic nas już nie dzieliło.

ODDZIELENI STOŁEM, siedzieliśmy naprzeciwko siebie.

Pomiędzy nami on i obrus, i naczynia na nim.

Ja z kochanką Harry'ego.

Boleśnie sobie wyobrazić.

Niepokojąco,

ze złością nawet

nieuzasadnioną.

Po co siedzę z nią.

– Głodny?

– Nie.

– Ale przecież coś zjesz.

– Tak, oczywiście.

– Nie jem niczego, co ma oczy – powiedziała.

– Ja tak, wszystko, co jem, ma oczy, jagnię, ryba, kura. Nie wyhodowano bezocznych.

– Wiem, ale nie chcę tego widzieć, wtedy jest łatwiej.

– Ale to oszustwo, jeśli jesz mięso, to ono miało oczy, nogi, płetwy.

– Czy jesteś na mnie zły? Dlaczego?

BO NIE CZEKAŁAŚ NA MNIE, na niego czekałaś, a teraz chcesz coś wiedzieć, czego się nie dowiesz, bo i ja nie wiem, co będzie dalej, kiedy moje oszustwo – że nie jestem Harrym, że to nie mnie chcesz – wyjdzie na jaw, na światło dzienne, na stół, przy którym siedzimy.

– NIE ZŁOSZCZĘ SIĘ.

– Ależ oczywiście, że tak.

I spokój od niej, oczywiście, że tak – stwierdziła, jak się stwierdza zachód lub wschód, lub pełnię Księżyca – o, dziś jest pełnia – nikt nie dyskutuje, to widać, więc nie broniłem się.

Kelner podpłynął, przyjął, odpłynął, wino białe kolebało się w dużych, opasłych kieliszkach.

– Więc nie jesteś ciekaw dlaczego?

– Jestem.

Harry w Mediolanie i nic więcej nie wiem, słowo, nie rozmawiamy już, nie ma próśb żadnych o odwiezienie czy przywiezienie, ta przyjaźń to bzdura była, to na chwilę tylko tutaj, a wyprowadził się, wyjechał z żoną i nic, żadnego kontaktu, więc to nieważne było jak cała reszta, nic ci o nim nie mogę powiedzieć – ale milczałem, a ona nachyliła się do mnie i powiedziała:

– Towarzyszyłeś mi w najgorszej chwili mojego życia w sposób tak niezwykły i tak delikatny, tak pozbawiony inwazyjności, niepotrzebnej uprzejmości, zbędnego pocieszania, prób uspokojenia, pomniejszenia, niewygody...

Usłyszałem: najgorszej chwili mojego życia – więc powtórzyłem dla pewności:

– Najgorszej?

– Tak, bo ja go wtedy kochałam.

Prostota jej wyznania zabolała odrobinę, rok się przewinął do tej ulicy pełnej nadziei i do tej walizki Puccini, nie na mnie czekała, i ukłuło to przypomnienie lekko, ale jak igłą przy szczepieniu, na chwilę, ale jednak.

– To chyba dobrze – powiedziałem, choć wiedziałem, że to niedobrze.

– Nie przez to najgorszej, najgorszej, bo uwierzyłam w coś, w co nie powinnam. – Jej głos zadrżał nieznacznie. – Myślałam, że dla mnie rzuci wszystko, mieliśmy razem wyjechać, i na to nasze przyszłe życie czekałam, a przyszedłeś ty…

Nie byłem przyszłością,

nigdy,

dla nikogo.

– I zrozumiałam, że on nawet odwagi nie miał, żeby powiedzieć, że nie, nie decyduje się, nie płakałam za nim, płakałam nad sobą, nie takiego Harry'ego kochałam, więc go nie kochałam, nie jego kochałam, tylko moje wyobrażenie, to jest zawsze straszne, jeśli nagle wiesz, że niewłaściwie kochasz…

Nie, to nie jest straszne,

straszne są inne rzeczy, wiedziałem jakie,

dla dwustu milionów ludzi na świecie prześladowanych za poglądy religijne straszniejsze są prześladowania,

dla stu trzydziestu milionów ludzi, którzy umierają z głodu, straszniejszy jest głód,

dla dziewięciuset pięćdziesięciu tysięcy osób ginących co roku w wypadkach samochodowych straszniejsze są wypadki samochodowe,

ale pokiwałem głową,

nie rozumiałem, co mówiła,

kochała czy nie kochała.

Jeśli nie, to dlaczego płakała, przez kogo płakała, że nie kochała go? Bez sensu to było… On jej nie kochał, to mogło być straszne dla kobiety… A to, że ona, nie?

Kobiety są inaczej składane – nie rozumiałem nigdy kobiet.

– I wtedy zjawiłeś się ty, zupełnie jak anioł jakiś. Nic nie zrobiłeś, tylko pozwoliłeś mi być w tym żalu. Taki towarzysz żałości mojej. I nie musiałam udawać nic, nie powiedziałeś: trzeba wziąć się w garść, nie zapytałeś dlaczego, nie tłumaczyłeś mi nic, po prostu byłeś.

– Byłem?

– To było niezwykłe, ludzie chcą coś natychmiast zrobić…

Ludzie? Jacy ludzie?

– Ja nie chciałem nic zrobić – powiedziałem.

– Wiem – uśmiechnęła się – przecież wiem. Chciałam ci powiedzieć, jakie to dla mnie było ważne… byłeś wspaniały.

– Ja?

Mówiła chyba o kimś innym, nie o mnie, ja przecież wtedy nie mogłem nic powiedzieć, bo nie miałem nic do powiedzenia, ale teraz już nie chciało mi się niczego prostować.

– Ty.

O kimś mówiła, kto nie był mną, kogoś innego miała na myśli, ale siedziała przede mną i na mnie patrzyła.

– Nie mogłam dojść do siebie po tym wszystkim… Dopiero dużo, dużo później zdałam sobie sprawę, że jakoś cię nadużyłam, ale nie miałam złych intencji, nie wiedziałam wtedy, co robię, wtedy… a ty byłeś taki cierpliwy… taki ujmujący… I w strachu, że jestem zupełnie sama, poprosiłam cię o telefon, a ty bez komentarza dałeś mi swój numer, dopiero potem pomyślałam, że to nieuprzejme wobec ciebie i nielojalne wobec Harry'ego – i tak padło jego imię. – Ale to już nieistotne, on jest nieważny – i tak padł sam Harry. – To dobrze, że wzięłam wtedy twój numer, teraz mogłam zadzwonić.

W jej oczach nie było kłamstwa, nie oszukiwała, nie było też uprzejmości, nie wiedziałem, co było, bo było to coś nienazwane jeszcze i ja nie wiedziałem, co to, ale mogłem odpowiedzieć tak jak nikomu, więc potwierdziłem:

– To dobrze.

Zanim mnie wstyd chwycił za to „dobrze", za to szybkie „dobrze", powinienem się był zastanowić, co mówię, ale nie zauważyła tej gorliwości, bo nadpłynął kelner z naszymi daniami.

I zamilkliśmy.

JADŁA NIESPIESZNIE, kroiła wszystko na drobne kawałki, nabijała na widelec mięso, dokładała nożem odrobinę ziemniaków i bakłażana, a potem końcem noża tynkowała tę minimalną wieżę serem gorgonzola, delikatnymi ruchami od góry do dołu.

Nie była tak piękna jak wtedy, nie miała w sobie tamtego światła, nic się od niej nie rozlewało na boki, kątem oka śledziłem każdy jej ruch i nagle zapragnąłem przywrócić do życia tamtą *ją*, nieprzestrzeloną jeszcze, niepoturbowaną – nie była już bowiem ptakiem gotowym do lotu, miała przetrącone skrzydła, bardziej była z tyłu, za moim siedzeniem, w rozpaczy, bardziej była wtedy, i jak błyskawica przemknęło mi przez myśl, że jeśli ją ożywię, to może i ja zmartwychwstanę, może ożyję i ja.

SIEDZIAŁEM NA PODŁODZE, mały, z kolanami blisko twarzy, skulony, mocno obejmowałem nogi i przyciskałem do piersi, żeby nie uciekły, żeby zajmować sobą jak najmniej miejsca, bo może wtedy stanę się niewidzialny, a może przynajmniej niezauważony.

Oni krzyczeli, a ja nie chciałem tego słuchać, nie chciałem słyszeć, nie chciałem rozumieć słów, zresztą nawet gdybym chciał, to one pękały dużo wcześniej, zanim do mnie docierały, wypadały z nich litery i kaleczyły powietrze, chciałem zniknąć, ale jeszcze wtedy nie mogłem. Mogłem tylko usunąć się z pola widzenia i pola słyszenia najciszej, jak potrafiłem.

Położyłem więc dłonie na uszach – wtedy, jak mocno przyciśniesz, szum robi się przyjazny, jakby fale się gdzieś o brzeg rozbijały. Wiem, bo miałem dużą muszlę i słuchałem jej wieczorami, kiedy nikt nie widział. Kiedy tak trzymałem swoją głowę, nie byłem sam, byłem ze sobą najciaśniej, jak potrafiłem. I już nic nie słyszałem oprócz tego szumu, i powoli zacząłem znikać...

PODNOSIŁA KIELISZEK wina obiema rękami, obejmowała go, tuliła w dłoniach, nóżka była zbędna, jak gdyby chciała ogrzać je o zimne krystaliczne szkło i rozgrzać zimne białe wino, jakby było eliksirem życia; z pieczołowitością i wdzięcznością upijała łyk, a potem odstawiała kieliszek, jak ksiądz po podniesieniu odstawia kielich na ołtarz.

– Nie mam kontaktu z Harrym – powiedziałem, choć mógł to być początek końca naszego spotkania.

– Chciałam się zobaczyć z tobą, a nie z odbiciem Harry'ego, niczego o nim nie chcę słyszeć, wiem za dużo, ale ta wiedza mi się przydała, bo właściwie dowiedziałam się dużo o sobie – powiedziała niezrozumiale, a ja znowu zamilkłem.

Nie wiedziałem, o czym mówi, nie byłem ani wspaniały, ani współczujący, ani towarzyszący.

Jeśli cokolwiek zakiełkowało wtedy, rok temu, zakiełkowało tylko – to zazdrość, że ja tak nigdy na nikogo nie czekałem i że nikt nigdy tak na mnie nie czekał.

Ślad zazdrości.

Minimalny, jak krąg na wodzie po wrzuceniu kamienia do jeziora, niepozostawiający po sobie niczego, zanim ta drobna fala dobiegnie do brzegu, straci swój kształt i przestanie oddychać.

Nie zmieni ani wody, ani brzegu.

A jednak nie odrywałem od niej oczu.

– NIEWIELE MÓWIŁEŚ, jak jedliśmy naszą pierwszą kolację, dlaczego?

– Ja w ogóle niewiele mówię.

– Ale czy to nie dziwne, że umawiasz się z kobietą i prawie nic nie mówisz?

– To ty się ze mną umówiłaś.

– Ale ty się zgodziłeś.

– Sam się sobie dziwię.

– Ale nie żałujesz, prawda?

– Żałuję, że czekałaś rok.

– A ja nie żałuję, warto było czekać.

– Warto było czekać na ciebie – powiedziałem, choć jeszcze nie wierzyłem własnym słowom.

– Warto było czekać na ciebie – powiedziała ona i uwierzyłem. Jej uwierzyłem.

ALE NA RAZIE jeszcze tego nie wiem, bo patrzę, jak widelec dotyka jej ust, które rozchylają się przed jego zimnym dotykiem, i jak wpuszcza do środka ten kawałek mięsa, w jej ustach jest już jej językiem dotykany, w jej wnętrzu już, i patrzę poza nią na kelnera, który przy barze, pochylony, rozmawia z barmanem, bo my przecież zostaliśmy już obsłużeni, a w środku tygodnia nie jest tu tłoczno, więc w rozmowie jest pogrążony, tak jak my w milczeniu; patrzę na niego, żeby mnie nie przyłapała na swoich ustach, na kelnera patrzę.

– Zawsze jesteś smutny?

Teraz mogę na nią patrzeć otwarcie, bez oszukiwania, że patrzę gdzie indziej, teraz mogę spojrzeć jej prosto w oczy, i nie rozumiem pytania, nie wiem, co mam odpowiedzieć, nie sądzę, żebym był smutny, nie czuję smutku, w ogóle niewiele czuję, nie muszę czuć, żeby żyć, nie muszę czuć niczego, to tylko przeszkadza, lepiej jest brać życie rozumem, wiedzą, doświadczeniem – uczucia nie są konieczne do przeżycia.

– Smutny? – powtarzam ostatnie słowo, bo muszę mieć czas, żeby odpowiedzieć, muszę się zastanowić, co powiedzieć, muszę to przemyśleć.

– Smutny – powtarza.

– Nie jestem smutny, jestem raczej spokojny – odpowiadam możliwie najszczerzej.

– Sprawiasz wrażenie smutnego – mówi Harriet, a ja nie wiem, jak mam na to zareagować, więc milczę. – Ale skoro mówisz, że jesteś spokojny, to biorę to za dobrą monetę. – Uśmiecha się. – Ja też jestem teraz spokojna.

– Co robisz? – pytam więc, bo przecież o czymś trzeba rozmawiać, chciałbym wydać się niezwykle interesujący, chciałbym ją zaciekawić, żeby zadzwoniła jutro i zapytała, czy mam czas, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Wszystko – odpowiada i oczy zaczynają jej błyszczeć. – Wszystko, tyle rzeczy mnie teraz pociąga!

NIE ZNAŁEM nigdy nikogo, kto robiłby wszystko. Nie ma takich ludzi na świecie. Ale ona wyglądała jak wyjątek.

Wyjęty z rzeczywistości.

I przestałem się jej bać przy tej rybie.

ZASTANAWIAM SIĘ, jak dalece jasno mnie widziała wtedy, jak dużo rozumiała. Byłem zupełnie inny niż ona, pusty, ledwo naszkicowany, i próbowałem to ukryć – to, że moje życie zaczęło się, kiedy ją spotkałem. A może od razu mnie przejrzała? Pozwoliła mi udawać, żebym czuł się bezpieczniej? Może wiedziała już wtedy, jak to się skończy? Może była w stanie widzieć mnie na wskroś, przez wszystkie bariery, sztuczne osłony, aż do tego punktu, kiedy straciłem przyczepność i stałem się obcy sobie i światu? Nie mogła jeszcze wtedy wiedzieć, że może mi zwrócić mój pierwszy początek, tak jak stworzyła drugi, stojąc przed hotelem z walizką Puccini…

ODWIOZŁEM JĄ do hotelu *inaczej* niż wtedy.

I nie pamiętałem nic z tej drogi, chociaż siedziała koło mnie. Pamiętam tylko jej kolano, sukienka je odkryła; dłonie miała splecione na udach i dopiero wtedy zauważyłem na nich małe ranki, jakby ją coś pogryzło.

Podjechałem pod same drzwi wejściowe i czekałem.

I znowu nie wiedziałem, co powiedzieć.

Ona wyciągnęła do mnie rękę:

– Dziękuję. To był dla mnie miły wieczór. Dobrze jest znowu móc być sobą.

Nie słyszałem tego, co mówiła, tylko patrzyłem na nią. Słyszałem, ale nie bardzo rozumiałem. Była znowu sobą? Ja nigdy nie byłem kim innym.

Chciałem ją zapytać o te skaleczone dłonie, ale to by było głupie i niepotrzebne. I po co mi taka wiedza? Po nic.

Być sobą?

A kim innym można być?

Nie chciałem się z nią rozstawać.

Chciałem na nią patrzeć, kiedy mówi.

Chciałem wiedzieć o niej więcej.

Ale przecież była obca.

Nie moja. Harry'ego też już nie, ale bardziej jego.

– Mogę do ciebie zadzwonić? – zapytałem więc i natychmiast tego pożałowałem.

– Kiedy tylko zechcesz. – Uśmiechnęła się i wysiadła z samochodu.

Stanęła w drzwiach hotelu, odwróciła się i spojrzała na mnie, jakby się nagle zawahała. Jakby o czymś zapomniała, jakby czegoś w tej chwili zabrakło. Przez moment pomyślałem, że cofnie się, podejdzie i mnie pocałuje. Nie wiem czemu. Ale nie, podjęła decyzję – i tylko pomachała mi, jak gdyby beztrosko wymazywała tę ostatnią myśl.

Byłem jej wdzięczny. Ta cała kolacja była podziękowaniem za coś, co według niej zrobiłem. Moją obojętność wzięła za delikatność, zobaczyła we mnie coś, czego nie było, i chciała mi podziękować.

Ten pocałunek przypieczętowałby moje oszustwo, paliłby mnie żywym ogniem.

Oczywiście, że tego chciałem. Wziąłbym ze sobą jej pocałunek i nie powiedziałbym ani słowa. Ukradłbym go, tak jak ukradłem jej podziękowania.

Już się odwracała, odchodziła.

A ja stałem tam.

Po prostu stałem.

A ona zniknęła w drzwiach.

Dopiero wtedy ruszyłem.

WRÓCIŁEM DO DOMU.

Miałem ręce i nogi.

Zrobiłem kawę, chociaż było późno, usiadłem i siedziałem, wpatrując się w nic.

– JESTEŚ WHITMAN, powinieneś kochać poezję.

– Ale ja jestem inny Whitman, nie ten.

– Nazwisko zobowiązuje.

– Mam dobre nazwisko.

– Będę ci czytać codziennie jeden wiersz, dobrze?

– Po co?

– Żebyś poczuł.

– Żebym poczuł co?

– Co się dzieje.

– Wiem, co się dzieje.

– Nie, nie wiesz. Bo tego się nie wie, to się tylko czuje. Przeczuwa się, dotyka nieśmiało, a kiedy chcesz to coś złapać – to jakbyś łapał mgłę. Jest, bo wszystko ci przysłania, znika świat, nie masz punktu odniesienia innego jak tylko w sobie, nie wiesz, gdzie jesteś, chociaż niby wiedziałeś, gdzie powinieneś być. Tak jak mi mówiłeś.

– O poezji nic nie mówiłem. To jest rzecz, bez której można żyć.

– Ale po co? – Spojrzała na mnie z takim zdumieniem, jakbym obwieścił koniec wszystkiego.

Nic się nie kończyło, wszystko trwało, ale jeszcze nie bardzo ją rozumiałem. Nie wiedziałem, ile znaczy dla niej poezja, jak bardzo jest w niej zakorzeniona. Cała jej głowa i serce były wypełnione słowami poetów, które żyły w niej jako jej własne. Rozmawiały ze sobą jak drzewa rosnące w tym samym lesie: połączone pod powierzchnią, żywiące się tym samym powietrzem i światłem. Dla Harriet poezja była jak tlen. Nie wiedziałem tego.

– Whitman, posłuchaj, proszę, bo na przykład ta Dickinson pisała o mnie.

Ta rzecz upadła – w mej Opinii –
Tak nisko – że usłyszałam –
Jak na kamiennym dnie Duszy
Z brzękiem się roztrzaskała –

Choć Los ją strącił – winię raczej
Siebie – że niepotrzebnie
Stawiałam Platery tanie
Na półce z prawdziwym Srebrem –

Czy to nie mówi więcej o człowieku, jego pragnieniach i błędach, odpowiedzialności, mądrości, wyborach niż najdłuższy esej? Parę słów, a masz wszystko – możesz o tym myśleć z radością godzinami, przypomni ci się we właściwej chwili, może przez sekundę się zastanowisz, gdzie umieszczasz to najmniej ważne, a jak obchodzisz się z tym, co drogocenne? Tu wszystko masz... To nie tylko poezja, ale aż poezja...

– Poezja może być, ale to nie jest rzecz konieczna do życia. To nie jest coś, co cię nakarmi albo zlikwiduje ci długi, albo spłaci pożyczkę – powiedziałem, a potem spojrzałem na nią i zobaczyłem, jak moje słowa ścierają radość z jej twarzy, i natychmiast ich pożałowałem.

ALE TO DUŻO PÓŹNIEJ.

Wtedy nie śmiałem nawet przeczuwać, że mnie oswoi i przywiąże do siebie jak psa.

Wróciłem do domu po tym naszym drugim spotkaniu i zrobiłem sobie kawę. Najpierw siedziałem bez ruchu, kawa wystygła. A potem chodziłem po mieszkaniu jak po klatce.

Już nie mogłem siedzieć, nie mogłem leżeć, nie mogłem oglądać telewizji, nie mogłem zajrzeć do dokumentów, nie mogłem otworzyć laptopa. Nie mogłem myśleć logicznie, po prostu nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić.

Widziałem widelec sięgający jej ust, czułem zapach gorgonzoli i kwaskowy smak wina, widziałem znowu jej uśmiech, słyszałem:

– Nikt nigdy tyle dla mnie nie zrobił, dziękuję.

Jej niezasłużone „dziękuję" atakowało mnie od środka, wyżerało mi trzewia, zajmowało ich miejsce i panoszyło się, ja zaś wiedziałem, że to kłamstwo, a nie sprostowałem, pozwoliłem jej uwierzyć, że jestem taki, jakim nigdy nie byłem.

Nie powiedziałem:

– To mnie nie obchodziło.

Nie sprostowałem.

Nie naprawiłem.

Chciałem, żeby tak myślała.

I fatalnie się z tym poczułem, po raz pierwszy w życiu.

Poszedłem do łazienki, zdjąłem koszulę i przemyłem twarz zimną wodą.

Z lustra patrzyła na mnie twarz oszusta. Było mi gorąco i zimno na przemian. W lustrze widziałem tylko przerażenie. Chlusnąłem strumieniem wody raz i drugi, woda spłynęła po łokciach na podłogę. Nacisnąłem kurek. Na lustrze zostały krople wody, przetarłem je dłonią, rozmazując swoją twarz do reszty.

A potem sięgnąłem po telefon i nacisnąłem „Viola".

VIOLA BYŁA KOBIETĄ, z którą czasem się spotykałem. Szliśmy do łóżka, tak jakbyśmy w czasie zaziębienia robili sobie inhalację. Zdrowotnie. Nikomu nie działa się krzywda, nikt nikomu nic nie obiecywał, nie mieliśmy złudzeń co do siebie, przyjeżdżałem do niej w wiadomym celu i wyjeżdżałem po wszystkim bez żalu, odrobinę bardziej wyluzowany, ona traktowała to tak samo jak ja, było to miłe – jak wypicie porannej kawy, która stawia cię na nogi.

Viola odebrała po pierwszym sygnale, jakby czekała, choć nie czekała, wiem na pewno.

– O, Andrew, dawno się nie odzywałeś – powitała mnie od razu. W telefonach nie było żadnej tajemnicy, żadnego oczekiwania, mogłeś sobie dowolnie wybrać rozmówcę, wyświetlałeś się całemu światu, ogłaszałeś – to ja, odbierz!

– Tak, praca – powiedziałem i oboje wiedzieliśmy, że to nie całkiem prawda.

– Wiem – potwierdziła, choć wiedziała, że to kłamstwo.

– Zajęta jesteś? – spytałem od razu.

– A jak bardzo chcesz, żebym była wolna? – Jej głos przeszedł w lekki ton flirtu.

– Chcę – odpowiedziałem za szybko, bo twarz Harriet pojawiła się obok mnie w odbiciu szyby.

– To przyjedź, weź jakieś wino – powiedziała Viola i wtedy smak wina, które piliśmy z Harriet, stał się jeszcze bardziej winny.

– Jadę. – I wyłączyłem się.

Viola czekała na mnie w podomce zgaszony róż, jedwab. Chwyciłem ją w przedpokoju wpół, chwyciłem za biodra i poczułem, jak jej pośladki prężą się pod moim naciskiem, jakby chciała się bronić.

Wpadliśmy do salonu, torba z winem stoczyła się z kanapy i głucho opadła na bordowy dywan. Viola gwałtownie szukała moich ust, ale odwróciłem ją i przewiesiłem przez oparcie kanapy, dyszeliśmy oboje, pod podomką była naga, zarzuciłem materiał na plecy, widziałem pośladki, które unosiła ku mnie z jękiem pragnienia, ocierałem się o nią, od wejścia gotowy do wejścia w nią, jedną rękę trzymałem na karku, a drugą poszukałem z przodu jej łona, wilgotna zapowiedź rozkoszy przyspieszała moje ruchy, a ona, jakby chciała połknąć waginą moje palce, poruszała się rytmicznie, ociekała pragnieniem, a ja czułem, jak jej wargi pęcznieją i robi dla mnie miejsce, rozpiąłem spodnie i gwałtownie w nią wszedłem, w momencie kiedy ona finiszowała, wystarczyło parę pchnięć, żebym doszedł, w ostatniej chwili zdołałem się wycofać i skończyłem na jej pośladkach.

Oddychałem ciężko i jeszcze nie wycofywałem ręki, zamknąłem oczy i oto była pode mną Harriet, która nigdy tak ze mną nie będzie, i nagle poczułem się jak zdrajca.

Nie-Harriet wije się pod moją ręką jak nigdy przedtem, mechanicznie jeszcze raz doprowadziłem ją do orgazmu i odsunąłem się tak samo nagle, jak nagle w nią wszedłem. Zapiąłem spodnie i stanąłem obok. Odwróciła głowę i powiedziała:

– No, no, coś podobnego! Tego jeszcze nie było!

Ręką sięgnęła do mojego nasienia i roztarła je na pośladkach, podniosła się, podomka niczego nie ukrywała, stała przede mną czerwona na twarzy, z jeszcze lekko nieprzytomnym wzrokiem, z sutkami pomarszczonymi od przyjemności, z włosami opadającymi na twarz, roześmiana.

– Nie poznaję cię, Andy!

Sam siebie nie poznawałem i wtedy zrozumiałem, że jestem tu ostatni raz.

Zrobiłem krok w stronę drzwi, ona również, stanęła przede mną – rozczarowanie to było, to co ominąłem szerokim łukiem?

– Przepraszam, przepraszam – wykrztusiłem i po prostu wyszedłem.

TAKI BYŁ KONIEC mojego drugiego wieczoru z Harriet.

I POCZĄTEK CIERPIENIA.

Musiałem się czegoś nauczyć, ale nie wiedziałem czego.

Na razie uczyłem się siadać, chodzić, jeść. Rozumieć? Nie, jeszcze nie.

Niewiele rozumiałem, tylko chciałem być bliżej. Chciałem ją widzieć. Chciałem na nią patrzeć. Chciałem, żeby była. A Harriet nie zadzwoniła.

Przychodziłem z pracy i ścierałem kurze. Musiało być czysto, żadnego pyłku, żadnego zgubionego włosa, fotel lekko przesunąłem, tak że teraz widziałem, siedząc, skrawek nieba nad napisem na sąsiednim budynku: „OVER YOU". Spoglądałem na chmury nad OVER YOU. Czy to nazwa firmy? Była od początku? Mieszkałem tu od trzech lat i nie zauważyłem?

Jak można być taką… taką osobą – nie chciałem pomyśleć „idiotką", żeby uwierzyć, że ktoś wszystko rzuci, zostawi swoje życie i wyjedzie w nic? W niepewność? Że można zmienić przyszłość? Jednym ruchem? Tylko dzieci wierzą w bajki, w nagłą przemianę, w dotrzymane obietnice, w słowa, które są droższe od wszystkich pieniędzy świata.

Harriet była…

Była przykładem na to, co dla mnie było najbardziej obce. Najbardziej groźne. Najbardziej niebezpieczne.

Stawała się Czymś Nieobliczalnym.

Miotałem się pomiędzy chęcią ucieczki a próbą zrozumienia, a raczej usprawiedliwienia tego jej czekania pod hotelem. Na co? Na kogo? Na nowe życie wyrwane innej kobiecie?

Ona? I ten brud?

Romans z tym nieudacznikiem?

Miłość do niego?

Do niego???

Nie mogłem tego pojąć.

I dlaczego się ze mną spotkała, a teraz milczała?

ILE BYM DZISIAJ DAŁ za jedno twoje słowo… Za twoje milczenie… Jeśli mocno zacisnę powieki, wydaje mi się, że słyszę bicie twojego serca. Cichutkie, miarowe. Jakbyś spała spokojnie gdzieś tam.

Pik… pik… pik… pik…

NIE UMIEM POWIEDZIEĆ, dlaczego tak jej łaknąłem.

To dobre słowo. Odczuwałem stałe łaknienie. Nie mogłem się niczym nakarmić i niczym ugasić pragnienia. Oto dlaczego czekałem każdego dnia od rana na jej telefon. Zaraziła mnie głodem. Nie potrafiłem siebie zrozumieć.

Ale jednak po tygodniu zrozumiałem, że nie zadzwoni.

I ósmego dnia zadzwoniłem ja.

Usłyszałem:

– Halo?

I natychmiast się rozłączyłem.

Jak sztubak. Niedorozwinięty sztubak. W dobie telefonów komórkowych??? Kiedy każdy numer wyświetla ci się rażąco? Trzeba być idiotą, żeby wpaść na coś tak głupiego.

Oddzwoniła po chwili.

– Whitman? Dzwoniłeś?

Chciałem powiedzieć, że przypadkowo wybrałem numer, ale jakimś cudem udało mi się zatrzymać w gardle to zdanie.

– Ciekaw jestem, jak żyjesz… – wydukałem i poprawiłem się natychmiast: – I podziękować ci za kolację…

– I to ci zajęło tylko tydzień? – roześmiała się, a ja się poczułem jak zdrajca.

– Dobrze, chyba dobrze, przeprowadziłam się do Londynu, od środy wynajmuję mieszkanie przy Kensington.

Milczałem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Jesteś tam? Co robisz? – Jej głos gładził moje umęczone wyczekiwanie.

– Zawsze o tej porze wychodzę na dach – odpowiedziałem, zanim sobie zdałem sprawę, że brzmi to gorzej niż idiotycznie.

– Kapitalny pomysł! – usłyszałem entuzjazm w jej głosie. – A po co wychodzisz na dach?

– Zawsze koło dziesiątej robię sobie krótką przerwę na trzeciego papierosa… Na dole mamy wydzielone miejsce do palenia, przy obrzydliwej, ciężkiej, śmierdzącej popielniczce ustawionej za filarem – im więcej słów, tym więcej wstydu, nie miałem jednak wyjścia – ale kierownikom pracowni dali klucze na dach i…

– I nie musisz palić za filarem?

– Nie muszę palić za filarem – mam nadzieję, że nie było słychać westchnienia – więc dlatego dzwonię.

Nie dzwoniłem dlatego, że nie musiałem palić za filarem! Dzwoniłem, bo bez twojego głosu zamieniałem się w nicość!

– Miło, że dzwonisz… Co widzisz?

– Kominy sąsiedniego budynku…

– Co jeszcze?

– Niebo… jakby bliżej…

– I…?

– Dwie duże anteny satelitarne, ale bardzo duże. Gołębie na sąsiednim budynku, chyba mają tam metę.

Odpowiadałem karnie, jak przy tablicy. Zwykle nie zwracałem uwagi na to, co widzę, teraz po raz pierwszy rozejrzałem się, nasz budynek był wyższy od innych w tej okolicy.

– To rewelacyjnie, że masz taką pracę, że możesz sobie poszerzyć świat! – ucieszyła się Harriet.

– Poszerzyć? – Nie rozumiałem, co miała na myśli.

– No wiesz, wychodzisz i masz wszystko, czego potrzebujesz do szczęścia… Przestrzeń, niebo, wolność… Za każdym razem na pewno widzisz co innego, inaczej się układają kolory, inny jest widok w słońcu, inny we mgle, inny w deszczu.

Nie potrzebowałem przestrzeni, nieba i wolności. Potrzebowałem jej głosu, chociaż jej głosu.

– To tutaj najwyższy budynek – powiedziałem nie wiadomo po co.

– Jesteś panem świata! – roześmiała się. – Czy tak się czujesz?

– Od dziesiątej do dziesiątej piętnaście, taką mam przerwę. – Zanim pomyślałem, co mówię, było za późno.

– Whitman, inni nie mają na to nawet piętnastu minut w ciągu całego życia! To musi być wspaniałe!

Rozejrzałem się z uwagą. Nie wiem, czy to było wspaniałe. Dachy niżej były upstrzone urządzeniami, których przeznaczenia nie znałem. Na niektórych stały duże zbiorniki, chyba na wodę, na jednym, w oddali po lewej, zobaczyłem uporządkowany w części taras, a na nim duże donice z tujami i meble ogrodowe. Tak, to było właściwie ciekawe.

– Nie wiem, czy wspaniałe, ale jeśli nie pada, to tutaj przychodzę…

– Możesz do mnie dzwonić z dachu, jeśli chcesz. Ja dopiero zaczynam dzień o tej porze, kładę się późno… i późno wstaję.

– Zadzwonię jutro – powiedziałem. – O tej samej porze, dobrze?

OD TEGO DNIA czekałem na dziesiątą jak na zbawienie. Wstawałem rano i świat był lepszy niż wczoraj. Pospiesznie wypijałem kawę, brałem prysznic i wiedziałem, że już za trzy godziny, dwie godziny, godzinę – będę z nią. Będę z nią na tym dachu, w jednym świecie, w jednym mieście. Miałem po co żyć.

– Co widzisz? Gdzie jesteś? – Od tego nieodmiennie zaczynała rozmowę, a ja odpowiadałem zawsze, jak grzeczny uczeń wywołany do tablicy: stoję, siedzę, chodzę, przed sobą widzę ścianę, chmury, dziś mgła, nie widzę nawet samochodów na dole… zamykam oczy…

– Dlaczego?

Co miałem odpowiadać? Żeby cię lepiej słyszeć, bardziej poczuć, łatwiej przywołać twój obraz?

Więc milkłem jak przyłapany na gorącym uczynku złodziej.

Nie przejmowała się brakiem odpowiedzi. A ja powoli traciłem czujność.

Pewnego dnia zapytała:

– Co widzisz, jak masz zamknięte oczy?

– Ciebie – odpowiedziałem nieostrożnie, zanim się zastanowiłem, jaka odpowiedź będzie właściwa, i natychmiast mocno zacisnąłem powieki. Z której strony przyjdzie teraz cios? Nie umiesz trzymać języka za zębami, głupcze.

Wstrzymałem oddech, w słuchawce panowała cisza, a potem usłyszałem leciusieńkie westchnienie.

– Cieszę się… Whitman. – Nieznaczny ślad tamtej nieznanej mi jeszcze Harriet, Harriet z chodnika przy Regent, niemówiącej Harriet, ale promieniejącej jeszcze – ten ślad przedostał się po łączach. Poczułem to i dopiero wtedy ośmieliłem się wziąć głęboki oddech. Nagła ulga podcięła mi kolana, nogi się pode mną ugięły, oparłem się o komin i trwałem w tym „cieszę się… Whitman"…

NIE WIEM, DLACZEGO mówiła do mnie „Whitman". Jakbym nie miał imienia, od razu byłem dla niej Whitmanem. Nie raziło mnie to, raczej bawiło, zacząłem traktować swoje nazwisko jak czuły pseudonim, jak intymne przezwisko, które nadaje się koledze z klasy, żeby go wyróżnić spośród wszystkich Krisów, Dawidów, Bobów, Richardów – Whitman był jeden, niepowtarzalny.

Po tym tygodniu, po najcięższym tygodniu w moim życiu, po tygodniu w zamknięciu, w kajdanach, w lochu – a przecież chodziłem do pracy i wracałem z pracy, jadłem, prowadziłem samochód – siedząc w więzieniu, bo bez niej, zapytałem, dlaczego ma poranione dłonie.

– DLACZEGO MAM PORANIONE DŁONIE? Naprawdę mnie o to zapytałeś? Nie pamiętam…

– Jak możesz nie pamiętać, to był mój szesnasty telefon do ciebie…

– I co powiedziałam?

– Że cieszysz się, że zwróciłem uwagę na twoje dłonie… I jeszcze zapytałaś… czy to mnie odstrasza…

– Odstraszało cię?

– Ja przecież w ogóle nie myślałem w takich kategoriach! Dopiero wtedy, po tym pytaniu… tak jakoś o tym pomyślałem…

– O czym? – roześmiała się cicho, gardłowo.

Czasem miałem wrażenie, że jednak się ze mnie leciutko naśmiewa.

– O tym, czy mnie to odstrasza… A ja po prostu byłem ciekaw…

– Czyli dobra była moja odpowiedź…

– Twoje pytanie.

– Moje pytanie. Czy wtedy zacząłeś myśleć o tym, jak to będzie, kiedy cię dotknę?

– Może coś takiego przeszło mi przez myśl… ale raczej zastanawiałem się, czy to cię boli.

– Wtedy zacząłeś chcieć, żebym cię dotykała? – Przesunęła palcem po mojej dłoni, żartobliwie, jakby chciała mi coś udowodnić. Poczułem, że robi mi się gorąco. Nie jest gorąco, jest duszno. Tak strasznie duszno. Byłaś powietrzem, Harriet. Nie mogę oddychać bez ciebie.

HARRIET MIAŁA niezmierzone możliwości wywracania każdej sytuacji na lewą stronę. Czasem zaczynałem myśleć, że wariuję. Wszystko wokół wirowało i traciło sens, nabierało innego znaczenia niż to, o czym myślałem. A może zaczynałem myśleć. Prowokowała mnie nieustannie, a jednocześnie… cały czas była mi wdzięczna.

Za to lotnisko.

Za to, że byłem żaden.

Ale tego nie prostowałem.

TEN UCISK, który czuję w piersiach – czy tak wygląda tęsknota? Że czuje się ją w środku – nie możesz oddychać, bo każda próba wzięcia oddechu powoduje ból, który wypala ci trzewia? Że czujesz się jak sparaliżowany, z ust nie wydobywa się ani jedno słowo, wszystko staje się bólem? A może to nie tęsknota, tylko – koniec? Ból tak silny, że przestaje się istnieć? Nie chcę bólu, chcę zachować ciebie, Harriet…

TRZECIE NASZE SPOTKANIE było dla mnie najgorsze.

Wybełkotałem coś w rodzaju, że teraz moja kolej, że skoro ty namówiłaś mnie na to drugie, to…

Roześmiała się.

– Naprawdę musisz szukać takiego pretekstu? Może po prostu chcesz mnie zobaczyć? Bo ja bardzo chcę – dodała szybko, zanim zdążyłem się wycofać.

Więc właściwie nie miałem wyjścia.

– Tak – powiedziałem.

– Potwierdzasz, że chciałeś mnie zobaczyć?

– Tak – powtórzyłem.

– Niełatwo się z tobą rozmawia.

– Tak – trzecie „tak" zabrzmiało idiotycznie, więc dodałem: – Wiem.

– St. James's Park?

Powstrzymałem się od czwartego „tak".

– Dobrze.

– Czternasta?

– Czternasta jest dobra – powiedziałem, choć byłem lekko zdziwiony. Ludzie umawiają się na popołudnia lub wieczory.

– Wiesz, gdzie jest Duck Island Cottage?

– Niedokładnie – przyznałem z trudnością – ale znajdę.

– Umówmy się pod pałacem, dobrze? Nie spóźnij się, albo po prostu bądźmy tam o trzynastej czterdzieści pięć, OK?

– Trzynasta czterdzieści pięć – powtórzyłem.

Wtedy pierwszy raz powiedziała o nas w liczbie mnogiej.

Bądźmy.

Bądźmy.

Zabrzmiało to jak rozkaz. I jak obietnica.

Bądźmy.

NASZE TRZECIE SPOTKANIE było dziwne.

Stała tam, nieruchoma, ludzie przechodzili obok, dzień był pogodny, kręciło się sporo osób, a jednak zobaczyłem ją od razu. Tym razem czekała na mnie. Wypatrywała mnie, nie Harry'ego. I jak mnie zobaczyła, zamachała, jakby chciała krzyknąć – nie przegap mnie, jestem tu!

Ale już bym jej nie przegapił.

Widziałem tylko ją.

I chociaż wspomnienie wizyty u Violi uwierało mnie jak drzazga wbita pod paznokieć, o której zapomnieć się po prostu nie da – pomyślałem wtedy chyba po raz pierwszy, że być może będziemy się widywać. Ja i ona. Może się bliżej poznamy.

Ja i spadek po byłym przyjacielu Harrym – ona.

NIEWIELE WIDZIAŁEM tego dnia w parku St. James's. Jakbym miał w oku specjalną soczewkę, nastawioną tylko na nią

– kącik jej ust podnoszący się i opadający, zęby, które pokazywała w uśmiechu, przymrużone oczy, okulary słoneczne, które podtrzymywały włosy – nie opuściła ich na nos – kosmyki, które nieposłuszne powiewy wiatru próbowały wyszarpać spod oprawek

– jej buty, kiedy spuszczałem wzrok, bo nie chciałem być przyłapanym obserwatorem, buty dziwne, kolorowe, z naszytymi guzikami, pierwszy raz widziałem takie coś na nogach dorosłej kobiety, guziczki wysuwały się do przodu, raz jedne, raz drugie, prawa stopa, lewa stopa, na jednej nodze czerwonopomarańczowe, tylko parę fioletowych i szmaragdowych, a na drugiej fioletowo-szmaragdowe i kilka pomarańczowych i czerwonych

– zabawne buty na lekkim obcasie, wiązane żółtymi sznurówkami, buty z bajki jakiejś, buty dla dziecka przebranego, ale nie dla dorosłej kobiety

– a obok trawa, taka zielona wzdłuż brzegów sztucznego jeziorka

– a ona krok i krok, i krok, i guziczki kolorowe, i nikt się za nią nie oglądał, nikt nie patrzył, a gdzie zrobiła krok, tam stwarzała się ziemia i ja mogłem pewnie iść; gdzie spojrzała, tam zaczynały rosnąć drzewa i mogłem je również widzieć, a każde słowo, które wypowiadała, miało samogłoski i spółgłoski, które w moich uszach jeszcze nie układały się w zdania, ale chciałem ich coraz więcej w sobie zatrzymać, zachować ton głosu, lekki śmiech, którym naznaczała niektóre frazy, jakąś czułość w tym, o czym mówiła

– choć jeszcze nie wiedziałem o czym, bo alfabet się dopiero tworzył.

COŚ DZIWNEGO STAWAŁO SIĘ na tej ścieżce, niepokojącego, wchodziło we mnie głębiej, dotykało czegoś i znikało, jakbym był jakimś pudłem rezonansowym, instrumentem, którego struny ktoś lekko trąca i wycofuje się, ćwiczenie jakieś się odbywało, z którego nie zdawałem sobie sprawy, coś czułem, ale ani nazwać tego nie potrafiłem, ani przerwać, ani polubić, a jednak w niepojęty sposób chciałem, żeby trwało.

Bo jak będzie trwało, to kiedyś usłyszę dźwięki i może zobaczę, jaki to utwór.

– Zdążyliśmy – usłyszałem, kiedy buciki przestały ze sobą rywalizować i zatrzymały się prawie w jednej linii.

Wtedy odważyłem się spojrzeć na nią wprost.

– Zdążyliśmy? – powtórzyłem, bo to wydawało mi się najbezpieczniejsze. Nie wiedziałem, o czym mówiła wcześniej. Słyszałem, ale nie rozumiałem.

Jeszcze głoski były porozrzucane i mniej ważne niż to, co widzę.

Chociaż liczba mnoga „my" – została oznaczona.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, to pelikany przyjdą na karmienie. Karmienie jest zawsze od czternastej trzydzieści do piętnastej. Która godzina?

Spojrzałem na zegarek, zegarek zawsze noszę, zdejmuję go tylko do mycia, ale potem zakładam, zawsze wiem, która jest godzina, i nigdy nie wyciągam komórki, żeby sprawdzić czas.

– Kwadrans po drugiej. – Mój zegarek był drogi i dokładny.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, zobaczymy karmienie pelikanów! – Była radośnie podniecona, a ja powstrzymywałem się od pobłażliwości.

– To miłe – zdobyłem się wreszcie na komentarz.

– Miłe? – Zdziwienie w jej oczach było nieudawane.

Miłe. Pogratulowałem sobie bystrości. Miłe.

– W siedemnastym wieku ambasador rosyjski podarował stado pelikanów Karolowi II w prezencie i stadko się zaaklimatyzowało, wiesz?

Nie wiedziałem. Nie była to informacja, bez której nie można żyć.

– Nie wiedziałem.

– No wiesz? Każdy londyńczyk o tym wie.

Nie byłem londyńczykiem.

Mieszkałem tu dopiero od trzech lat i na pewno ostatnią rzeczą, która mnie interesowała, były pelikany, duże, skrzekliwe, nieładne ptaki w centrum miasta.

– Z tego wynika, że mają ponad trzysta lat – bąknąłem, a ona roześmiała się głośno.

– Zabawny jesteś. Taki dziwny świat, że stado ma ponad trzysta lat, a żaden ptak nie ma trzystu lat. Zupełnie jak z ludzkością…

Nie widziałem w ogóle podobieństwa do ludzkości, ale nie chciałem się sprzeciwiać, więc kiwnąłem głową. Nie musiałem z nią walczyć.

– Zobacz! – Poczułem jej dłoń na swoim przedramieniu i przeszedłem do innego świata, w którym byłem jej i tylko jej, i ciemno mi się zrobiło przed oczyma. – Jakie one śmieszne!

Ręka zniknęła i tak samo szybko powróciłem do parku pełnego ludzi.

Pelikany, kołysząc się niezgrabnie, gnały w kierunku człowieka z czerwoną miską, w niebieskich rękawiczkach. Brał z miski po jednej rybie i wkładał w otwarte szeroko olbrzymie dzioby, których worki pod żuchwą kołysały się przy każdym ruchu.

– Lubię karmienie – powiedziała Harriet. – Lubię patrzyć, jak ludzie albo zwierzęta jedzą. To takie ekscytujące. Zobacz. – Znowu jej dłoń na moim przedramieniu i znowu inna rzeczywistość, jakby mnie ktoś podłączył pod wysokie napięcie. – Zobacz, jak śmiesznie piją! Wiedzą, że trzeba przekrzywić głowę, żeby nabrać wody w ten…

– Worek – podpowiedziałem szybko.

– Worek – powtórzyła i znowu się roześmiała. – Tak samo robią dzieci na plaży, jak chcą nabrać wody do plastikowej torebki.

– A chcą?

– Jak budują zamki z piasku i nie mają wiaderek… Nie robiłeś tak?

Nie nabierałem wody do plastikowych torebek ani wiaderek, nie budowałem zamków z piasku ani z żadnego innego materiału, nie byłem jako dziecko nad morzem, nie przypominam sobie żadnych wyjazdów na wakacje i na pewno nie chciałem o tym rozmawiać.

– Zobacz, jak zabawnie to wygląda, jakby wiosłowały tym dziobem z prawej na lewą, ładne ptaki, takie dostojne.

Na pewno nie były ładne. Były pokraczne, niezgrabne, z wolem wiszącym jak mokre szmaty, ale pokiwałem potwierdzająco głową.

– Lubisz patrzeć na ludzi, jak jedzą?

– Ludzie, zwierzęta, ptaki, nawet rośliny… Lubię. Zwierzęta jedzą, żeby się nakarmić, ale też bywają łakome. Te oswojone. A ludzie? Po sposobie jedzenia poznasz, jacy są… Czy cieszą się, czy są oszczędni, a nawet skąpi, czy są głodni, czy najedzeni, czy jedzą dla przyjemności smakowania, czy z uzależnienia, czy łapczywie, czy smakują każdy kęs, czy są bojaźliwi, czy próbują nowych smaków, czy poczucie bezpieczeństwa jest dla nich ważniejsze niż ryzyko… Ja na przykład lubię jeść rękami, potrawy mają inny smak… Wiadomo, że nie mogę tak jeść przy ludziach ani w restauracji, ale…

Chciałem, żeby jeszcze raz mnie dotknęła, tak jakbym był jej własnością. Żeby stało się coś, co znowu spowoduje, że krzyknie: zobacz! – i chwyci mnie za przedramię, jakbym należał do niej zawsze.

Czekałem, żeby coś się wydarzyło, runęło drzewo, któryś z pelikanów zerwał się do lotu, przewrócił człowieka z czerwoną miską, ale nic takiego się nie stało.

Pelikany sadowiły się na wystających skałach, ludzie powoli rozchodzili się w różne strony, a myśmy tam stali.

Nie wiem, w którym momencie zdałem sobie sprawę, że ją kocham.

Może przy tych pelikanach.

A może wcześniej, kiedy te jej buciki walczyły o zwycięstwo na mecie i ścigały się ze sobą na ścieżce, a może po prostu wtedy, już wtedy pod hotelem, kiedy czekała na Harry'ego.

Nie wiem.

Ale na pewno zdałem sobie z tego sprawę i poczułem, że muszę uciekać, póki nie jest za późno, póki nie jestem stracony.

I w jednej sekundzie podjąłem decyzję.

– HARRIET, PRZEPRASZAM – spojrzałem na zegarek – kompletnie zapomniałem o pewnym spotkaniu, bardzo ważnym, muszę zdążyć na drugi koniec miasta, muszę szybko znaleźć taksówkę, muszę... – plątałem się. – Nie wiem, jak mogło mi to wylecieć z głowy, naprawdę, przykro mi...

– Nie przejmuj się, idź, ja tu jeszcze zostanę... – Uśmiechnęła się tak jakoś inaczej, i zostawiłem ją przy domku dla ptaków.

Szybkim krokiem przemierzałem tę samą drogę bez towarzystwa jej guziczków. Patrzyłem pod nogi, wymijałem niespieszących się ludzi i uciekałem jak sprawca z miejsca przestępstwa.

Po prostu uciekłem.

TERAZ TEŻ CHCIAŁBYM UCIEC...

Jeśli jej nie ma, nie muszę oddychać, nie muszę myśleć, nie muszę czuć...

Ale czuję ciężar na klatce piersiowej, jakby ktoś mi tam położył cały świat... a chciałbym tylko wziąć głęboki oddech, krzyknąć: „Harriet", i już nie uciekać od niej...

uciec do niej...

DZIESIĘĆ NASTĘPNYCH DNI to była męka.

Wiedziałem, że nie zadzwoni, ale czekałem, żeby zadzwoniła.

Telefon milczał.

Zresztą dlaczego miałaby dzwonić? Dlaczego miałaby chcieć ze mną rozmawiać?

A skoro nie chciała ze mną rozmawiać, to przecież ja również nie mogłem dzwonić. Wychodziłem na dach o dziesiątej i wpatrywałem się w przestrzeń, w której nie było Harriet.

Wyjmowałem telefon i chowałem do kieszeni dziesiątki razy.

Wszystko zawaliłem.

Cisza raniła mnie mocniej niż kiedyś jakiekolwiek słowa.

Każdego wieczoru zadawałem sobie pytanie, dlaczego nie skontaktowałem się z nią od razu, dlaczego nie przeprosiłem raz jeszcze i nie spróbowałem się umówić w ramach przeprosin, dlaczego odwlekałem ten moment z dnia na dzień.

I każdy następny wieczór był gorszy od poprzedniego i z każdym następnym dniem nabierałem przekonania, że dopiero teraz to będzie bez sensu.

Po tygodniu byłem chory z rozpaczy i ze złości na samego siebie.

Wiedziałem, że straciłem szansę, choć nie zdawałem sobie sprawy na co – ale to na pewno była jakaś szansa na coś, choć nie miałem pojęcia, co to jest to coś.

Wmuszałem w siebie jedzenie, straciło smak, jak robot wyprowadzałem z garażu samochód, jechałem, wracałem, siadałem i cierpiałem katusze. Kawa smakowała jak pomyje, papierosy robiły mi szambo w ustach, bolał mnie brzuch, nawet w pracy ktoś mnie zapytał, czy nie powinienem iść do lekarza, bo coś kiepsko wyglądam.

Nie odpowiadałem na inne telefony, nie włączałem telewizora, siedziałem jak martwy w fotelu i czekałem na moment włączenia dużego neonu OVER YOU, żeby zatrzymywać wzrok na YOU i zacząć produkować pretensje do samego siebie.

Byłem idiotą.

Jestem idiotą.

Pod napisem „YOU" czułem jej dłoń na przedramieniu i to lekkie ściśnięcie – zobacz – i próbowałem się znowu dostać do tamtej rzeczywistości, w której byłem z nią.

Ale byłem sam.

ÓSMEGO DNIA wypiłem pół butelki wódki i poranny kac zmusił mnie do wzięcia wolnego dnia. Zobaczyłem pustą lodówkę, niepościerany kurz, płyty rozłożone na parapecie i niedopitą kawę przy łóżku. Rozpadałem się na kawałki, a przecież byłem już posklejany.

Dziesiątego dnia wieczorem zadzwoniłem, bo czułem, że jeśli jej chociaż nie usłyszę, postradam zmysły.

Odebrała po trzecim sygnale.

– To ja – powiedziałem.

– Wiem, wyświetliłeś mi się – powiedziała ona.

I wtedy stało się coś takiego, że cała moja przemowa uleciała z wiatrem, wypłukało mi mózg i wyszeptałem z wysiłkiem:

– Nie miałem żadnego spotkania. – Zamknąłem oczy i czekałem na wyrok.

– Domyślałam się – powiedziała ona.

Nie rozłączyła się, czekała.

– Przestraszyłem się – powiedziałem, nie otwierając oczu, ciemność była przyjazna, można było udawać, że się nie jest.

– Tak myślałam – powiedziała ona.

Milczałem.

Ona też milczała.

Nie rozłączyła się.

– Nie wiem… nie wiem, o co chodziło… – udało mi się powiedzieć nieco głośniej.

– Rozumiem – powiedziała ona.

Nie pomagała, ale i nie przeszkadzała. Czekała.

– Moglibyśmy się zobaczyć… kiedyś? – zrejterowałem w ostatniej chwili.

Prawie zobaczyłem, jak się uśmiecha.

– Kiedyś? – zapytała.

– Tak – potwierdziłem.

– Co to znaczy dla ciebie: kiedyś?

Otworzyłem oczy.

Napis na chmurnym niebie – YOU.

– Kiedy zechcesz – powiedziałem.

– Kiedy ja zechcę? – upewniła się i byłem przekonany, że się śmieje.

To było dobre.

To było lepsze niż obrażenie, uraza czy obojętność.

– Tak – potwierdziłem i mocno zacisnąłem powieki. – Bardzo bym cię chciał zobaczyć.

– I porozmawiać?

– Tak.

– Whitman?

– Jestem. – Byłem napięty jak struna.

– Dobrze, że jesteś. Zadzwonię.

I dopiero wtedy się rozłączyła, a ja zasnąłem w fotelu pierwszy raz od niepamiętnych czasów.

ZASNĄĆ… Nie pamiętam, jak się zasypia. Jak zasnąć, żeby przedrzeć się do ciszy przez ten monotonny, uporczywy szum, który nie pozwala zatopić się w nicości? Przecież kiedyś umiałem zasypiać… Drobne, ostre dźwięki pojawiające się znikąd wwiercają się w uszy jak robaki… drażnią mnie w środku… Chcę ciszy… absolutnej ciszy i spokoju… nic więcej…

NASZE CZWARTE SPOTKANIE odbyło się trzy dni później w hinduskiej knajpie, tam specjalnie zarezerwowałem stolik. Stolik okazał się niziutkim indyjskim stoliczkiem na pokracznych nóżkach, w towarzystwie pufów, które niewiele wystawały ponad podłogę. W knajpie było prawie ciemno, świece i kolorowe lampki dawały przyjemne czerwone światło, woń trociczek mieszała się z zapachem wschodnich przypraw, byłem prawie pewien, że rozpoznaję zapach paczuli, miejsca były od siebie odgrodzone roślinami, dywanami, rzeźbami Sziwy, drewnianymi słoniami.

Przytłumiony gwar dochodził zewsząd, ale ludzi prawie nie było widać. Siedliśmy we wnęce, jednej z wielu, niemalże na podłodze. Harriet była zachwycona, zdjęła buty i podwinęła nogi pod siebie, ja miałem kolana pod brodą i nie bardzo wiedziałem, jak się usadowić.

– Lubisz indyjską kuchnię? – zapytała, rozglądając się wokół, jakby pierwszy raz widziała taki nadmiar kiczu. Ale ten kicz był przyjazny, miękki, otulający, pachniał i ukrywał nas przed światem.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Z wyjątkiem jedzenia w fast foodach chyba nie kosztowałem niczego naprawdę indyjskiego.

– Więc skąd ten pomysł?

– Tu się je rękami – odrzekłem, a ona uśmiechnęła się tak promiennie, że przestraszyłem się, że mnie przejrzała.

– Och, to cudownie! – ucieszyła się po prostu i mój strach minął.

Jedzenie było rewelacyjne. Nie miałem pojęcia, że można próbować czegoś, co wygląda jak nieświeża pasta ze zdechłej ryby, a ma niepowtarzalny smak purée z ziemniaków? soi? fasoli? Miodowo-korzenny, słodkawy, lecz zarazem ostry i rozpływa się w ustach. Najpierw podano nam wodę z cytryną i ciepłe szmatki do umycia rąk, potem na okrągłym naczyniu z kulkami została ułożona srebrna taca podzielona na osiem części, a na każdej z nich znalazła się inna potrawa – pierożki, kawałki mięsa, pasty, krewetki w cieście i Bóg wie co jeszcze. Hinduski chleb był miękki i dobrze wypieczony, odłamywaliśmy kawałki i chwytaliśmy przez nie jak przez rękawiczkę wszystko, co tam było. Harriet miała rację – jedzenie rękami było smaczniejsze, bardziej intymne, inne od wszystkiego, co znałem.

Kiedyś, dawno temu, w innym życiu, włożyłem palec do sosu, żeby sprawdzić, czy jeszcze potrzebuje soli albo tymianku, ktoś coś gotował dla mnie w przeszłości, choć bardzo rzadko, ale wtedy maczanie palca było ukradkowe, niewłaściwe i nigdy bym tego nie zrobił przy obcych ludziach.

Teraz siedzieliśmy obok siebie na krwawym dywanie w gauguinowskich kolorach, wśród miękkich tkanin, z drewnianym słoniem pilnującym wejścia do naszej jaskini, a sos spływał nam po palcach aż do nadgarstków.

Zlizywaliśmy resztki jedzenia z dłoni, oboje, czułem się bardziej nagi niż kiedykolwiek przy innej kobiecie. Taca obracała się z każdym naszym ruchem, Harriet brzegiem dłoni ocierała usta, a potem przesuwała językiem po ręce, a ja wyobrażałem sobie, jaki smak ma jej ciało, jej dłoń, jej palce, jej wargi.

Małe kuleczki okazały się tak ostre, że zaczęła machać rękami, łapała powietrze jak ryba, a ja najpierw podałem jej wodę, machnęła ręką, że nie chce, więc wachlowałem ją serwetką. Łzy spływały jej po policzkach, a ja wachlowałem jak głupiec w nadziei, że to pomoże.

Kiedy już mogła mówić, wykrztusiła:

– Nie jedz tego… zielonego… Nie wolno takich ostrych potraw popijać, jest jeszcze gorzej, chyba że masz sok z arbuza… wtedy pomaga… To już lepsze mleko…

Nie miałem pojęcia, skąd znała takie metody, ale nie spytałem.

– Wiesz – wycierała załzawione oczy i głos miała jeszcze schrypnięty – że rodzice dzielą się na takich, którzy dmuchają w buzię dziecka, jak zje coś gorącego, i na takich, którzy nie dmuchają?

Nie byłem rodzicem, przez moment zastanawiałem się, czy to aby nie przytyk do mojego bezradnego machania serwetką, może spodziewała się, że powinienem dmuchnąć? – ale to nie był przytyk. Po prostu dzieliła się ze mną swoimi doświadczeniami.

– Moi tego nie robili – powiedziałem i dopiero wtedy odłożyłem serwetkę.

– A moi chyba tak i ja pewno będę chuchać na wszystko, co będzie za gorące dla moich dzieci – mówiła już prawie normalnie – jeśli oczywiście będę miała dzieci. Czy to kardamon? Nie znałam tych przypraw w dzieciństwie...

Nie chciałem rozmawiać o nieistniejących dzieciach ani o istniejących rodzicach. Nie chciałem też pamiętać. Smak jedzenia z dzieciństwa? To było w innym życiu.

TAMTEN ZAPACH wrócił do mnie ze zdwojoną siłą, ale nie chciałem pamiętać. To nie było dobre wspomnienie. Z garnka unosiła się dziwna woń, matka co jakiś czas wsadzała tam łyżkę i dawała mi do spróbowania.

– Dobre? Czy znowu będziesz marudził? Pizza najlepsza, tak? A jak mama gotuje, to be... krzywisz się? No to czego tu mam jeszcze dodać? Papryki chcesz?

– Nie wiem – odpowiadałem, bo to coś jak gulasz warzywny z odrobiną mięsa i tak było bez smaku.

– Nie wiem, może kardamon...

Odsunąłem się od stolika i cofnąłem do rogu, oparłem o kilim wiszący na ścianie, nareszcie rozprostowałem nogi.

Puściłem w niepamięć tamto wspomnienie i ogarnął mnie błogi spokój. Byłem naprawdę dobry w odcinaniu się od przeszłości – wydarzenia, głosy, zapachy znikały, jakby nigdy ich nie było. Znów byłem bezpieczny, zamknięty w teraźniejszości. Moje dzieciństwo było obcym krajem, który przestał istnieć, kiedy z niego wyrosłem.

Bezszelestnie pojawił się Hindus z winem w wysokiej karafce, wyciągnęliśmy jak na komendę kieliszki.

– Dobry pomysł. – Harriet usiadła przy drugim rogu, choć to naprawdę nie były rogi, tylko zaokrąglenia, podsunęła pod rękę puf i też wyciągnęła przed siebie nogi. – Muszę odpocząć, zanim znowu ogarnie mnie łakomstwo.

Patrzyłem na nasze stopy, moje w czarnych skarpetach, duże, mam numer czterdzieści cztery, i jej drobniutkie jak u dziecka, bose, na paznokciach perłowy lakier, łagodnie łososiowy, leciutko błyszczał w nikłym blasku świec.

– Tak musiały wyglądać uczty w starożytnym Rzymie – mruknęła.

– Z tym że serwowano inne potrawy. – Podniosłem kieliszek w tym samym momencie co ona.

Roześmiała się i stuknęła swoim o mój.

– To za co pijemy?

Za nas, chciałem odpowiedzieć automatycznie, tak jak miliony innych ludzi na świecie, którzy w tym samym momencie stukali się kieliszkami, ale powiedziałem:

– Za to, żeby nam nie zaszkodziło.

Zatrzymała kieliszek w drodze do ust.

– Żeby nie...?

– Nie zaszkodziło – powtórzyłem, trochę zdezorientowany.

– Nie wznosi się toastów za nie. Wznosi się toasty za tak. Nikt nie mówi: żebyśmy nie byli nieszczęśliwi, tylko za szczęście! I nikt nie powie: żebyśmy nie byli chorzy! Tylko: żebyśmy byli zdrowi!

– To na zdrowie – powiedziałem idiotycznie i wypiliśmy do dna.

Przysunąłem stolik, Harriet podciągnęła nogi i przekręciła się na bok. Z głową opartą na dłoni, z ręką zgiętą w łokciu wyglądała jak odpoczywająca nimfa. Odstawiła kieliszek i sięgnęła po krewetkę. Jej głowa była blisko moich ud.

– Nie zostawię ani okruszka – powiedziała – choćbym miała pęknąć.

I wtedy nachyliłem się w jej stronę i zanim zdążyłem zrozumieć, co mówię, usłyszałem siebie, jak pytam:

– Czy mogę cię pocałować?

Podniosła twarz w moją stronę, a ja dotknąłem delikatnie jej ust. Pachniała kardamonem? Curry? Na wargach miała okruszki ostrego ciasta z krewetki. Dotknęliśmy się, jakbyśmy nie byli ludźmi. Nikogo nigdy dotychczas tak nie całowałem.

Jakbym się bał jakiegokolwiek gwałtowniejszego ruchu, jakiegokolwiek mocniejszego dotknięcia, jakbym próbował pocałować motyla i nie naruszyć pyłku z jego skrzydeł. Nie widziałem nic poza jej rozszerzonymi źrenicami, a potem powiekami, które powoli się zamknęły, i wtedy ja również zamknąłem oczy, żeby nie stracić ani na sekundę miękkości jej ust, które pomału poddawały się mojemu dotykowi. Nie było we mnie pożądania ani ekscytacji, ani niczego, co znałem wcześniej – były rozlewające się ciepło i chęć zatrzymania na zawsze tej chwili, jakby obmywała nas łagodnie woda, jakbyśmy byli jednością, jakby czas przestał istnieć i liczył się tylko jej dotyk, nasz dotyk.

Odsunąłem się na tyle, żeby spojrzeć na nią, wtedy uchyliła powieki i wyszeptała:

– Nie przestawaj, Whitman…

TAK TO SIĘ ZACZĘŁO.

Już nie było odwrotu, już przepadłem.

Znalazłem się za tą granicą, której miałem nigdy nie przekraczać. Było za późno na myślenie, zastanawianie się, przejmowanie się konsekwencjami, branie pod uwagę – po prostu stało się. Tego wieczoru w tej hinduskiej knajpie w hinduskiej dzielnicy Londynu poddałem się.

– WHITMAN, POPATRZ, przecież ja to widzę. Popatrz na nich. Chcą być kochani, nie chcą kochać, bo to by wymagało czegoś, ale nie wiedzą czego, a nie chcą wymagać od siebie. Chcą być wolni. Więc oczy mają bystre, ale niewidzące, bo wpatrzone w siebie. Śledzą swoje odbicia w wystawach, lustrach, szybach aut i autobusów. Usta mają uśmiechnięte, bo są OK. Tak to wygląda i oni wyglądają. Wyglądają nie lepszego życia, tylko lepszego wizerunku życia. A ty… od razu to wiedziałam… ty wiesz… I kocham ciebie również za to, że jesteś inny…

Widzę jej zmarszczki, kiedy mruży oczy, nie lubi okularów przeciwsłonecznych, właściwie lubi, ale inaczej, lubi je mieć na włosach, lubi słońce, więc ma tych zmarszczek dużo, pięknych cieniutkich linii, które powołuje do życia, śmiejąc się albo płacząc.

– Whitman, a jadłeś kiedy strupy?

Nieoczekiwany koniec zdania o miłości, zakrztusiłem się gazowaną wodą mineralną, jakbym wlewał w siebie spirytus.

– Jakie strupy, na litość boską?

– Normalne. Jak sobie stłukłeś kolano czy coś. Każde dziecko próbuje przecież, jak to smakuje…

– Nie mów mi, że ty to robiłaś.

– Jasne, że tak. Możesz mnie za to znienawidzić. Każdy to robi, a ja się do tego przyznaję.

– To obrzydliwe, co mówisz.

– Nie, to prawda, co mówię.

– Harriet, błagam!

– A bawiłeś się w lekarza?

Podrzuca moją butelkę z wodą i łapie ją w powietrzu tuż przed moim nosem, usuwam się natychmiast z toru jej dłoni i butelki, uchylam się, wciągam odruchowo głowę w ramiona.

– Nie bój się, nie skrzywdzę cię przecież! – śmieje się, jest niepoważna, człowiek powinien być poważny.

– Nie boję się. – Wzruszam ramionami i głowa powoli wraca na swoje miejsce.

– Skuliłeś się, jakby do ciebie strzelano… – Nachyla się ku mnie, teraz patrzy uważniej. – Bawiłeś się w lekarza, no powiedz!

– To nie jest mądra rozmowa, do niczego nie prowadzi.

– Whitman! Nie jesteś na odczycie, nie wygłaszasz mowy ratującej świat, nie ma tu nikogo oprócz nas, jesteś tu ze mną, dlaczego tak bez przerwy oceniasz? To mądre, to głupie, to wypada, to nie! Wszystko możemy przecież robić! Możemy o wszystkim rozmawiać, chcę wiedzieć, czy bawiłeś się w lekarza!

Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie bawiłem się w lekarza. Nie bawiłem się również w chowanego, w wojsko, nie grałem w piłkę, nie chodziłem z innymi za szkołę palić papierosy, nie uciekałem z lekcji.

Nie wiem, czy w ogóle byłem.

– Nie było mnie, kiedy byłem mały – odpowiadam wobec tego, a jej oczy nagle zmieniają kolor, jej usta nagle opadają, pojawia się głęboka zmarszczka na czole, już się nie śmieje, nawet powietrze poważnieje między nami.

– To dopiero musiało być straszne – mówi cicho i zdaję sobie sprawę, że to było straszne, a tak bardzo chciałem o tym nie pamiętać.

KREW? Skąd się tu wzięła krew? Na pewno widziałem dużo krwi. Tak, ręce miałem we krwi… Aaa, to moja rozcięta noga…

Rower pożyczył mi kolega, pewno z litości, nie miałem swojego, a tak strasznie chciałem jeździć, tak jak oni wszyscy, oni zaś puszczali kierownicę, podnosili ręce do góry, mimo to rower jechał prosto, nie wiadomo dlaczego, i ja też puściłem tę kierownicę – wtedy przednie koło zahaczyło o krawężnik, wygięło się i runąłem na jezdnię, kolano poszorowało po asfalcie, rower też, byłem przerażony, że się zepsuł, że coś zrobiłem nieodwracalnego, że już mi nigdy roweru nie pożyczy, ale Brian podbiegł do mnie, sprawdził, czy rower jest OK, powiedział: „Nie umiesz jeździć, koleś", i wziął rower, a ja zostałem na tym asfalcie.

Kolano krwawiło, musiałem coś z tym zrobić, ukryć je przed wzrokiem matki i przed czujnym okiem ojca – coś ty znowu wyrabiał, niedołęgo? – więc wszedłem do domu przez okno w łazience, trochę umyłem nogę, szczypało i krew nie przestawała lecieć, szybko przebrałem się w długie spodnie, włożyłem zwinięty papier toaletowy pod spód, żeby ich nie pobrudzić. Musiałem być niezwykle ostrożny, żeby nikt nie zobaczył, żeby nie wywołać awantury, nie zmartwić matki, nie przybijać gwoździ do jej trumny tą raną, która paliła mnie żywym ogniem i otwierała się na boki, czułem to, jak siadałem – rozsuwała się jak wąwóz i piekła coraz bardziej.

W nocy ściskałem ją palcami, żeby się zasklepiła, przewiązałem torebką foliową, żeby nie pobrudzić piżamy, cały czas się z niej coś sączyło, rano kolano było opuchnięte i czerwonofioletowe. Ale nikt się nie domyślił, że byłem taką niezdarą, nikt niczego nie zauważył w domu, ale w szkole na zajęciach trener od razu kazał mi podciągnąć dres, biegałem, kulejąc, mimo że się bardzo starałem, i odesłał mnie do pielęgniarki. Dostałem zastrzyk przeciwtężcowy i wybłagałem, żeby nie mówiła rodzicom. Oczyściła ranę, wycisnęła ropę, założyła opatrunek, bolało. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

Ach… więc stąd ta krew…

W KTÓRYM MOMENCIE poczułem się tak bezbronny? Czy na tyle straciłem czujność, że nie zdążyłem się nawet tak poczuć? Dlaczego nagle Harriet zmuszała mnie do cofania się w przeszłość, którą tak ładnie sobie zamurowałem? Dlaczego to robiła? Nie potrafię tego zrozumieć, ale otwierała drzwi, do których już nawet wyrzuciłem klucze i nie pamiętałem gdzie. Uchylała okiennice zamurowanych okien. Odkopywała zasypane tonami ziemi dobrze ukryte bunkry, tak jakby przy tym była. Trafiała w ten jeden jedyny nieosłonięty punkt z mistrzostwem nie do pokonania. Miała dar, który demontował moją bezpieczną zbroję kawałek po kawałku. To mnie przerażało i pociągało jednocześnie.

Nie chciałem jej stracić, tak jak straciłem dotychczas wszystko.

Ale ona rujnowała mój spokojny świat, wprowadzając do niego niepokój, nieobliczalność, radość, spontaniczność i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. Ciekawość. Jakby była saperem, którego wyzwaniem jest rozminowywanie pola. Ja byłem tym polem.

– Whitman, nie wydaje ci się czasami, że jesteś jak pole minowe?

– Pole minowe?

– Wiesz, to takie miejsce, że jeśli gdziekolwiek zrobisz krok, to wylatujesz w powietrze.

– Harriet, na miłość boską, przecież ja wiem, co to jest pole minowe!

– Ale pytasz, więc odpowiadam. Poruszasz się tylko jedną, ustaloną dawno temu ścieżką i udajesz, że jesteś bezpieczny.

– Co w tym złego, że po polu minowym idzie się jedną rozminowaną dróżką, jeśli będziemy się trzymać tego głupiego porównania?

– Nic. Tylko że lepiej albo się wyprowadzić gdzie indziej, albo to, co lubisz, rozminować, skoro jest takie fajne, i wtedy chodzić, gdzie się chce.

– Chodzę tam, gdzie chcę.

– Ale chodzisz tam sam… – posmutniała – a ja bym chciała, żebyś poszedł na spacer ze mną…

Nie zrozumiałem wtedy, co ma na myśli.

Dzisiaj już wiem.

Dziś już mogę ją zabrać ze sobą wszędzie.

– NAWET W DZIEŃ, nawet jeśli niebo pochmurne, gwiazdy są przecież nad nami, prawda? – nachylała się nade mną.

– Są – potwierdziłem.

Leżałem z głową na jej udach, a słońce paliło mnie prosto w twarz. Byliśmy sami na plaży. Sześć kilometrów, albo więcej, od hotelu, w którym się zatrzymaliśmy. Rowery leżały obok jak zmęczone zwierzęta.

– Dlaczego ze mną nie rozmawiasz? Chcę wiedzieć, co myślisz, czego pragniesz…

– Ciebie – przerwałem – tylko ciebie.

– Nie możesz pragnąć tylko mnie.

– Nie mogę, a jednak.

– Nie możesz pragnąć tylko mnie, jeśli mnie kochasz; jeśli kochasz mnie naprawdę, pragnij wszystkiego! Wody, oceanów, gwiazd! Świata! On jest wart ocalenia!

– Ciebie.

– Nie, nie, nie! – Zrzuciła moją głowę z kolan. – Podnieś się, zobacz, zobacz, to jest miłość!

Podniosłem się na łokciu.

Przed nami morze. Na morzu w dali żagiel, nic poza tym, jak okiem sięgnąć. Mała biaława chmurka w zastanawiającym oczekiwaniu na zmianę kształtu.

– To?

– Tak, bo patrzymy na te same rzeczy, na tę wodę, która jest nasza, na ten statek.

– Żaglówkę – sprostowałem.

– I statek, którego nie widać, i wszystko! Nie rozumiesz?

– Kocham ciebie.

– Kochaj świat, bo mnie kochasz… Ja wiem, że ten piasek jest tobą i to słońce, i ta woda, i te kamienie… i niebo, i gwiazdy nad nami, ich też teraz nie widać, a to nie znaczy, że ich nie ma, to proste, i wszystko… Czemu tego nie rozumiesz jeszcze?

A potem zrzuciła chustkę, którą była owinięta, i wstała.

Wbiegła do wody naga i zanurkowała. Patrzyłem, kiedy wypłynie, ale odpłynęła daleko, lubiła pływać, jej ciemna głowa kołysała się coraz dalej ode mnie.

– Wracaj! – krzyknąłem w przestrzeń. – Wracaj, wróć!

Odmachnęła ręką, że słyszy.

I płynęła dalej, poza ostre skały wulkaniczne, tam gdzie Morze Śródziemne z niebieskozielonego przechodziło w granat.

Nie pływałem tak dobrze jak ona, Harriet w wodzie była syreną, nie bałem się o nią.

Ciepły piasek rozgrzewał mi plecy; jeśli tak wygląda Bóg jak ten dzisiejszy dzień, to wierzę, wierzę, z całego serca wierzę.

Wtedy wierzyłem.

ŚMIERĆ NIE PRZYSZŁA Z WODY, przyszła w zgrzycie metalu szorującego po chropawym asfalcie, w huku pękającego szkła; przyszła znacznie, znacznie później i wyciągnęła rękę, żeby zabrać mi Harriet.

Dzień, w którym umiera bliski ci człowiek, na pozór nie różni się od innych dni. Tak samo wstaje słońce i tak samo zachodzi.

Pada deszcz lub świeci słońce.

Chmury przemierzają twoje niebo wolno lub szybko. Nie przywiązywałeś do tego wcześniej żadnej wagi.

Ale potem ten dzień będzie odciskał pieczęć na wszystkich innych, chociaż z trudnością zapamiętasz pogodę i kolejność godzin.

Nie odtworzysz tego dnia, będzie zamazany, z wyjątkiem momentów, które były bez znaczenia.

Pamiętasz kobietę w sklepie przed tobą, która kupowała papierosy. Albo że tego dnia byłeś niewyspany. Że nie miałeś żadnych przeczuć, złych ani dobrych.

Albo że się cieszyłeś tego dnia wcześniej. Mój Boże, jak mogłeś się cieszyć wtedy, kiedy ona już wyjechała, nie znalazła klucza, zawróciła spod domu, w którym miała czekać na ciebie, a jeszcze nie wiedziałeś o tym i byłeś pełen radosnego oczekiwania na wieczór, na nią, na jej ciało, na jej spojrzenie przekorne, na jej usta, które podawała ci po prostu, a może już wtedy samochód szarpnął niespodziewanie, i ty jeszcze byłeś radosny, a ona tam w tej zimnej samotności, z głową na kierownicy, rozpłataną, może jeszcze przytomna i wzywająca pomocy, a ty tu, nucący pod prysznicem *Take me to church*...

NIEKTÓRYCH LUDZI spotykasz, mijasz i nie potrafisz zapamiętać nawet ich twarzy. A inni odciskają piętno na twoim życiu.

Po latach dopiero staje się jasne, dlaczego i po co spotkaliście się właśnie tam, w tamtym przeszłym momencie, w obcym już dla ciebie życiu, które miało inny smak, w którym drzewa były wyższe, trawa pachniała mocniej, a morze szumiało inaczej.

Powroty do przeszłości niwelują wspomnienia, odzierają je z przestrzeni, smaku, zapachu.

Niektórzy ludzie pojawiają się w naszym życiu i znikają na zawsze.

O niektórych nigdy nie pamiętamy.

O niektórych nie chcemy pamiętać.

I są tacy, o których nie chcemy zapomnieć.

Ja nie chcę zapomnieć ciebie, Harriet.

Tylko ciebie nie chcę zapomnieć.

Chcę pamiętać zapach twojej skóry. Jej delikatną jedwabistość, kiedy wtulałaś się we mnie pośladkami i kładłaś moją rękę na swojej piersi.

– Słyszysz, jak bije moje serce? – pytałaś sennie.

A ja czułem i słyszałem: pik... pik... pik...

CZEGO BYM CHCIAŁ? Nie miałem specjalnych marzeń. Nie chciałem być ani sławny, ani rozpoznawalny, nie chciałem osiągnąć najwyższego szczytu ani włóczyć się po świecie. Po co? Życie wszędzie jest takie samo; jeśli gdzieś jedziemy, to tylko wydaje nam się tam lepiej, bo nie znamy języka, a nawet jeśli znamy, to nie znamy lokalnych problemów, widzimy zaledwie opakowanie, ładne lub brzydkie, ale inne niż nasze – i to ma być atrakcja? Że ludzie są nieubrani? Bo żyją w okolicy równika, gdzie ubrania

są niepotrzebne? Że są okutani w kożuchy i nie widzą słońca przez pół roku, bo żyją na biegunie? Co w tym jest takiego fascynującego?

Nie chciałem nigdy niczego wyjątkowego. Było, jak było. Pragnąłem jedynie, żeby mnie kochała, na zawsze, na wieczność. Dla niej chciałem być najważniejszy.

– A chcesz być najważniejszy dla siebie?

Nie chciałem odpowiadać na takie pytania. Po co? To, co przeminęło, jest nieważne.

Dlaczego z tego mroku wyłania mi się dzisiaj postać mojego ojca? Niewyraźna, jak kiepskie ksero, które przeleżało na parapecie w słońcu całe lata i zdążyło wyblaknąć, jak paragony, które przechowywałem skrzętnie w pierwszej szufladzie biurka, dopóki się nie zorientowałem, że nadruki stają się coraz jaśniejsze, aż wreszcie znikają.

Paragony zacząłem fotografować, są na twardym dysku, ojca na twardym dysku nie mam.

Nie dał się odbić wyraźnie. Parę kresek i parę zdań, co się robić powinno, co ja robić powinienem. Co robić muszę. Co trzeba zrobić w przyszłości. Żeby zadbać o siebie. Musisz zacząć dbać o siebie, musisz to zrobić, bo za ciebie nikt tego nie zrobi – to portret mojego ojca.

Pewnego dnia spakował się, nie pamiętam, czy się ze mną pożegnał, pamiętam dwie duże wypchane walizki i puste miejsce na ścianie w dużym pokoju – po dwóch obrazach. Przedtem wisieli tu jacyś giermkowie na koniach, sanie na pierwszym planie z parą książęcą albo królewską, w wytwornych futrach, malarz nieznany, ale zeszłowieczny. Obraz należał do jego dziadka, którego nie znałem i o którym ojciec nie chciał mówić. Na drugim były jakieś kwiaty i martwy bażant przewieszony koło talerza z winogronami, obraz dosyć okropny, ciemny, tylko ten bażant jakoś wyłaził kolorystycznie na pierwszy plan.

Nie lubiłem ich, ale pozostałe po nich prostokątne ślady były jaśniejsze niż ściana i ta pustka była gorsza niż owe bohomazy.

Myślałem zresztą, że wyjeżdża gdzieś na chwilę, służbowo, to pamiętam, ale przyszła ciotka Helen, jego siostra, i jak spojrzała na ścianę, to rozpłakała się.

– Dziecko, ty już ojca nie masz.

Nie zmartwiłem się specjalnie, bo nie byłem do niego przywiązany. Nie można się przywiązać do kogoś, kto jest cały czas daleko od ciebie, nie masz odpowiedniej długości sznurów.

Dlaczego bażanta pamiętam ze wszystkimi detalami, a ojca nie?

Dlaczego niektóre tylko wspomnienia pojawiają się właśnie teraz, kiedy są mi zupełnie i do niczego niepotrzebne?

Ojciec to te dwa jaśniejsze prostokąty, to jest mój ojciec. To mój dom rodzinny. Niczego więcej nie odzyskam.

NIEWIELE PAMIĘTAM ze szkoły, ze studiów. Uczyłem się dobrze, nie dlatego, że mi zależało na wiedzy czy opinii, jaką mieli o mnie nauczyciele, po prostu nie chciałem się wyróżniać, ale też nie chciałem zostać z tyłu. Uczyłem się więc przeciętnie. Nie miałem żadnych specjalnych osiągnięć – nie chciałem wychodzić przed szereg, nie chciałem, żeby mnie wyróżniano, nagradzano. Chciałem się wtopić w tłum, być jedną z gładkich, nijakich twarzy dzieci na zdjęciu klasowym. Ukrywałem się za zasłoną bylejakości, szarości, bo tam byłem bezpieczny.

W pracy podobnie. Byłem idealnie przeciętny. Tylko raz dostałem wysoką premię za osiągnięcia… ale jakie? Nie wiem. Tę premię jednak pamiętam, bo kupiłem wtedy samochód, którym cię wiozłem, więc samochód pamiętam z detalami…

Nie byłem przygotowany na stratę, nie na taką. Może właśnie tak było, że jechałem wtedy do chaty twojej przyjaciółki? W górach, wysoko, z dala od głównej drogi. Jechałem, a ty miałaś tam na mnie czekać. Po pogrzebie mojej matki.

Padało.

– NIE MOŻESZ odrzucać wszystkiego, co cię irytuje.

– Mogę.

– Nie, nie próbujesz zrozumieć.

– Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz.

– Tak, nic nie rozumiem.

– Nie potakuj lekceważąco.

– Nie potakuję lekceważąco.

– Potakujesz, żeby mieć mnie z głowy, nie zastanawiać się, nie szukać, wygodnie przeglądać się w moich oczach, nie potakuj, chcę wiedzieć, jaki ty jesteś, ty, a nie odbicie ciebie, ty z tym swoim cofaniem się, ciebie chcę, nadęty dupku, więc mnie nie skreślaj głupim potakiwaniem, nie zbywaj mnie, rozumiesz?!

Wyciągnąłem ręce, żeby ją przytulić, ale nie poddała się.

– Nie, nie, tak jest najprościej, a nie ma być najprościej, ma być prawdziwie, nie rozumiesz?

CO TAKIEGO DOPROWADZIŁO MNIE do tego miejsca? Mógłbym cofnąć czas... Gdybym mógł cofnąć czas, to co bym zrobił inaczej, żeby teraz nie być tutaj, z jej martwą dłonią w swoich rękach? Jak mógłbym tego uniknąć? Co powinienem był zrobić, żeby ją ocalić?

– TE DROBNE SKALECZENIA są od krzyżaków. Krzyżaki to małe krzyżyki, które wkłada się w glinę, pierwszą formę rzeźby, żeby się nie rozleciała. I jak się grzebie w tej formie, to musisz trafić na krzyżaczka. Nie czujesz tego wtedy, dopiero potem. Ale goi się ładnie. Natychmiast. Tak jakby glina była również lecznicza. Dlatego nie maluję paznokci, nie opłaca się. Musiałabym to robić trzy razy dziennie, ale po co?

Zaprosiła mnie do pracowni w czwartek. Poszedłbym gdziekolwiek, byle się z nią zobaczyć. Powiedziała, że pracuje, ale jeśli chcę, to mogę przyjechać na herbatę. Chciałem, i teraz rozglądałem się po dużym, chłodnym pomieszczeniu, które ani mnie nie zdziwiło, ani nie przeraziło, ani nie było tak interesujące, jak myślałem, ani tak obce.

Po prostu duży loft, zimny, nie do ogrzania. Nie wiem, jak sobie radzi w zimie, ale do zimy było daleko.

– Czy to znaczy, że widzisz kamień i nagle przychodzi ci na myśl, że tam w jego środku drzemie głowa? Albo kwiat, albo para obejmująca się?

Chciałem, żeby do mnie mówiła, a nie wiem, o czym rozmawia się z rzeźbiarką.

– Nie, noszę to w sobie, to mi się wykluwa powoli, ten kwiat, ta głowa, ta para obejmująca się, a potem szukam kamienia. I on się znajduje.

– Nigdy odwrotnie?

– Czasem odwrotnie.

– Nie umiesz tego wytłumaczyć?

– Nie potrafię ci wytłumaczyć.

– A spróbujesz? – jednak się odważyłem.

Posadziła mnie przy dużym stole, żywe drewno, dąb, z czajnika nalewała wrzątek do dwóch za dużych kubków.

– Nie kupiłam cukru – powiedziała przepraszająco – ani mleka.

– Nie szkodzi – odpowiedziałem, choć lubiłem odrobinę posłodzić.

Siadła naprzeciwko, była daleko, stół był za szeroki, za długi dla nas obojga.

Nagle, zupełnie bez uprzedzenia, zapomniane wspomnienie nasunęło się na teraźniejszość, jakby ktoś przewrócił w tył kilkadziesiąt stron książki. Cukier.

– Nie ma cukru! Co ci się znowu nie podoba? Głodny jesteś? To żryj, co ci zrobiłam! A ty nie, bez przerwy nie i nie! Nie lubisz? Nie lubisz, jak matka gotuje? To nie jedz!

Talerz leci na podłogę, lepka kasza wylewa się. A potem dłonie na oczach i szept zduszony:

– Jezu, Jezu, ja tego nie wytrzymam, co ty robisz, co ty robisz!

I poczucie winy, trzeba było szybko zacząć jeść, teraz przez ciebie ona płacze, lepsze to niż złość, bo w złości potrafi uderzyć mocno, za mocno na wytrzymanie bólu, więc skoro się nie zjadło, to teraz trzeba podejść ostrożnie, przeprosić, może da się pogłaskać po głowie, może jest tylko zmęczona, może nie zaczyna się kolejny atak.

Przysuwam do siebie herbatę bez cukru, patrzę na stół – drewniany, potężny, grube dębowe dechy, ślady od noża? Dłuta? W zagłębieniach pasemka, być może gliny? Gipsu?

– Spróbuj – poprosiłem raz jeszcze i zniknęła matka i niesłodzona kasza.

– No więc… widziałam kiedyś w parku małżeństwo… a może i nie… Mieli po dwieście lat albo trzysta. A przynajmniej tak wyglądali. Para zadbanych staruszków. Zamożnych staruszków, w każdym razie dobrze ubranych. Siedzieli i nic nie mówili. Patrzyli przed siebie. Jak u mojej Emily Dickinson… *Bryczka mieściła nas dwie – I – jeszcze Nieśmiertelność…* Więc ta ławka mieściła ich oboje i jeszcze nieśmiertelność… Jego ręce dotykały ławki, tak jakby miał się przewrócić bez tej podpory, jakby się jej trzymał dodatkowo, mimo że siedział, wiesz, w takiej pozycji, jakby gotów był wstać…

Podniosłem głowę i patrzyłem na Harriet. Trzymała kubek w dłoniach, jakby chciała je rozgrzać, była w tym parku, nie tutaj, nie ze mną przy stole. Przymrużyła oczy, jakby chciała tamtych ludzi lepiej widzieć.

– Rozklapane stare dłonie jak płetwy, on tymi rękami utrzymywał się w pionie, ramiona miał lekko uniesione, głowę bez szyi schowaną w tułowiu. A ona siedziała obok niego z prawej strony i swoją rękę położyła na jego dłoni… Miała potwornie powykręcane stawy, wiesz, aż tak – chwyciła swoje palce i wygięła w niezwykły sposób – każdy w inną stronę, przełamane takimi gulami nie do rozprostowania… I on małym palcem zahaczył o jej zniekształcony palec, tak po prostu, żeby być bliżej z nią…

Widziałem jej drobne dłonie, które poruszały się po stole, dotykały się na tym dębowym blacie, i próbowałem słuchać.

– A potem ona wyjęła z torebki orzechy czy ciastka, nie mam pojęcia co, doskoczyły do nich ptaszki, które się tam wałęsały w radosnym oczekiwaniu na coś do zjedzenia, i ona wysypała na dłoń to coś, a wtedy jego ręka, starcza i żylasta, chwyciła jej przegub, o wiele za mocno, bo jej dłoń aż zadrżała i staruszka z trudem wsypała to coś z powrotem do torebki, a on ściskał jej rękę w dalszym ciągu, jakby nie zauważył, że wycofała się już z czegoś niestosownego… A potem oddała mu tę torebkę, a on sypnął tym czymś na chodnik i schował torebkę do kieszeni marynarki…

Patrzyła na mnie, ale nie mnie widziała. Nie przerywałem jej, nie wiedziałem, dlaczego mi o tym mówi, nie odpowiedziała na moją prośbę, ale chciałem z nią być i na nią patrzeć bez względu na to, co opowiada i czy to ma jakiś sens.

– Był upał, a oni byli ubrani, jakby chłód w tym miejscu panował, on miał na sobie grube spodnie, marynarkę, pod nią sweter, ona – spódnicę wełnianą, bluzkę pod szyję, kremową, z kołnierzem, i sweter kardigan ciemnogranatowy, z obszernymi kieszeniami… Ptaki zatrzepotały, zawalczyły o te okruchy, a ona rozcierała ukradkiem ten swój nadgarstek, tak żeby on nie widział, bo siedział sztywno i patrzył przed siebie, obrażony, urażony? Zły? Nie wiem, bo po twarzach starych osób trudno rozpoznać uczucia. A potem poklepał tą swoją szpotawą łapą ławkę i ona znowu położyła tam swoją powykręcaną dłoń, a on znowu jej poszukał…

Teraz widziałem tych starych ludzi, tak jakbym był nią. Widziałem te wełniane ubrania, za dużą marynarkę i słyszałem trzepot skrzydeł.

– Pomyślałam sobie wtedy, że chciałabym to uchwycić… wykuć w kamieniu… bo w nich było wszystko… przeszłość i miłość teraźniejsza. Cierpliwość w niesieniu tego wszystkiego, co mieli za sobą, i radość, że jeszcze ze sobą są. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, ale kiedyś to zrobię… Mam te ręce w pamięci… Tam były czułość i wspomnienie, łagodność i pogodzenie, bez względu na to, jak to śmiesznie brzmi…

A potem… widziałam już tylko przemoc. Złość. Gniew. Chytrość. Skąpstwo. Poddanie. Ale nie poddanie się sobie, tylko poddanie się w ogóle. Brak nadziei. Więzienie, na które są skazani. Dożywocie bez apelacji. Sześciokrotny wyrok dożywocia bez prawa do ubiegania się o zwolnienie warunkowe. Rozu-

miesz, o czym mówię? A potem znowu pragnienie bliskości… Jak wyrzeźbić to coś, co pomiędzy nimi było? Jaką formę temu nadać?

Nie miałem bladego pojęcia, o czym mówi. Nie przyglądam się ludziom. Uważam, że każdy powinien się zajmować raczej własnymi sprawami. Nie wiem, dlaczego ktoś chciałby rzeźbić cudze ręce i po co. Oprócz Rodina. Ale to już było. Nie sądzę, żeby chciało mi się marnować choćby jedną chwilę na zastanawianie się, czy jacyś ludzie będą dobrym materiałem na rzeźbę. I o czym ta rzeźba ma być. Rzeźba jest rzeźbą. Ale pokiwałem głową, bo tego prawdopodobnie ode mnie oczekiwała, a ja chciałem, żeby czegoś oczekiwała.

– A potem sobie uświadomiłam, że to nie jest opowieść o nich, o modelu, tylko o odbiorcy. O twórcy. O mnie samej. O tym, jak interpretuję świat. I w tym tkwi sedno. Ja tworzę inny świat, nawet jeśli kopiuję to, co widzę, bo przepuszczam to przez siebie jak przez sito, i to sito ma zmienne oczka, raz jest gęste, prawie nieprzepuszczalne, czasem ma dziury i uszkodzenia, czasem ma zerwaną siatkę – bo jest mną, a ja jestem… za każdym razem inna. A chciałabym odnaleźć ten swój własny wzór na sicie – rozumiesz… za każdym razem inny, ale z moją rozpoznawalną skazą, z moją pieczęcią… A jeszcze nie potrafię…

Spojrzała na mnie i w jej oczach zobaczyłem prawdziwy smutek. Kąciki jej ust lekko się wygięły w nieudanej próbie uśmiechu.

– To nudne, prawda?

– Potrafisz – powiedziałem, ale opuściła głowę, więc dodałem cicho: – Potrafisz, tylko jeszcze o tym nie wiesz. – A od dębowego stołu odbiła się jasność płynąca z jej oczu.

– BADANIA…

Kto to powiedział? Ona czy ja? W naszej restauracji, przed obiadem?

– Kiedy rozmawiam z kolegą na temat badań, których wyniki zupełnie nie zgadzają się z założeniami, i mówię, że mam trudności, on proponuje, że pomoże mi to zinterpretować. A ja przecież z interpretacją nie mam problemów!

Harriet roześmiała się.

– To jest właśnie śmieszne! Chyba właśnie mniej więcej na tym poziomie się ciekawie różnimy. Dla mnie bakłażany poproszę i sałatkę z burakiem i orzechami.

– A dla pana?

Nie zauważyłem kelnera, nie zauważałem nikogo, kiedy była przy mnie.

– Może ossobuco? Ty nie jesz mięsa?

Pokręciła przecząco głową.

– Z warzywami grillowanymi czy z ziemniakami z majerankiem?

– Z warzywami.

Kelner zniknął, nachyliłem się do Harriet.

– Jesteś znowu na jakiejś diecie ?

– Nieee – przeciągnęła zabawnie samogłoskę. – Wiesz, jak byliśmy pierwszy raz tutaj, to uświadomiłeś mi niezwykle ważną rzecz.

– Ja? – Pierwszą kolację pamiętam ze wszystkimi szczegółami, niczego nie uświadamiałem, rejestrowałem każdy jej ruch, każdy grymas, każdy kęs, na pewno nic więcej.

– Ja powiedziałam, że nie jem niczego, co ma oczy, a ty powiedziałeś, że to oszustwo…

– Nie mogłem…

– Tak, i miałeś rację. To, że nie widzę na kawałku ryby oczu, nie znaczy, że ten wycięty kawałek z żywego stworzenia już nie jest tym stworzeniem. Jest. Oszukiwałam siebie, a nie chcę się dalej oszukiwać.

– To znaczy, że ja oszukuję? – stężałem.

– Nie! – Dotknęła mojej dłoni przez stół, to był dobry stół dla nas. – Nie, twój wybór jest prawdziwy, jesz, wiesz, co jesz, decydujesz się, dokonujesz wyboru i to jest OK. Ale ja siebie okłamywałam, rozu-

miesz?

Jej dłoń była ciepła, moje ciało topniało w miejscu dotyku, traciło swoje właściwości, stawałem się nią.

– Ja mogę? – zapytałem jak dziecko i oblała mnie fala wstydu.

– Mam wpływ na to, co robię, ty jesteś sobą – odpowiedziała ciepło.

Jestem tobą! – chciałem krzyknąć, jesteś mną, chciałem, żeby świat się o tym dowiedział, ale milczałem, a jej dłoń wchodziła w moje ciało, a potem wycofała się.

– Widzisz, jak się fajnie różnimy? Ja nie potrzebuję informacji z zewnątrz, tylko z wewnątrz. A ty zbierasz informacje ze świata, żeby je uporządkować.

– A ty?

– Chyba żeby je przerobić. Przekuć. Opakować. Nadać im nowe, moje tylko znaczenie. I nie wiem, czy mi się to udaje. I nie wszystkie informacje są cenne.

– Jedyna informacja, która nie przyda ci się do niczego, to informacja niedostarczona.

– Jesteś genialny, Whitman. Nigdy nie pomyślałam o tym w ten sposób. – Patrzyła na mnie z uwagą, jakby zobaczyła mnie po raz pierwszy. *Inaczej*, to było właściwe słowo. – Nigdy tak nie pomyślałam… ale nie sądzę, żeby to było sednem… Teraz myślę, że jedyna nieprzydatna informacja to informacja dostarczona… Świat byłby taki prosty, gdybyśmy mieli wszystkie informacje… dostarczone… Wiedzielibyśmy, co jest pod spodem… Co i kto czym się kieruje, co nim powoduje, znalibyśmy wnioski i przyczyny… jak Bóg… Straszne, prawda? Nie byłoby po co żyć… Chcesz spróbować?

Kelner postawił przed nami przystawki, jej sałatka nie wyglądała fascynująco.

Nie mogłem za nią nadążyć. Zmieniała temat w ciągu sekundy, jakby była konikiem polnym skaczącym niefrasobliwie po źdźbłach trawy. Ha, teraz zielone, teraz kwiatek, byłam tam przed chwilą, pachniało lawendą, nie podobało mi się, o, tu mak, tu perz, mówiłeś o zapachu? A ja muszę przeskoczyć dalej, bo nóżki mi się rozprostowały nagle z nudy, patrz, bąk leci, a tam mucha, hop-siup.

Była barwnym motylem, który przysiada na chwilę i rozkłada skrzydła, żebyś mógł je podziwiać, ale za chwilę je złoży i tylko wrażenie kolorów zostanie, bo jest tylko ciemną kreską na liściu róży, dopóki nie zamigocze w odlocie na sąsiedni kwiat.

Nie chciałem próbować jej sałatki z okrągłymi plastrami buraka marynowanego.

– Tak, oczywiście – powiedziałem wobec tego.

I ZNOWU WPADŁEM W CIEMNOŚĆ.

W DNIU POGRZEBU mojej matki wstałem skoro świt. I tak kiepsko spałem, dom matki miał szczególny zapach domu niewietrzonego od nie wiadomo kiedy, do drugiej w nocy próbowałem uprzątnąć chociaż drobiazgi, które trzeba jak najszybciej oddać, pakowałem książki i chociaż byłem potwornie zmęczony, nie zmrużyłem oka aż do wschodu słońca.

Musiałem załatwić krematorium i szybki pogrzeb, nie chciałem, żeby Harriet przyjeżdżała, musiałem być z tym wszystkim sam.

Nasz planowany wyjazd do chaty w górach opóźniał się. Obiecywałem od tygodni, że wyjedziemy razem chociaż na parę dni, nie składało się jednak. A teraz jeszcze ten pogrzeb.

– Kochany, nie chcę, żebyś był sam… Przyjadę. – Głos Harriet przez telefon był odległy, ale koił moje serce.

– Nie, naprawdę nie. Radzę sobie. Pojadę do chaty po pogrzebie, a ty tam będziesz na mnie czekać, dobrze?

I tak mieliśmy jechać w dwa samochody, bo ja musiałem być w pracy w poniedziałek, a ona chciała jeszcze zostać parę dni.

– Wolałabym, żebyś nie był sam – prosiła łagodnie.

– Tym razem to bez znaczenia – powiedziałem. – Zobaczymy się na miejscu. Wyjadę od razu po… pochówku… po południu…

– Może prześpij się jeszcze i wyjedź rano… Będziesz zmęczony. Dobrze śpisz?

W ogóle nie śpię.

– Tak – skłamałem lekko. – Nie martw się.

– Kocham cię – powiedziała, a ja się rozłączyłem.

CO WTEDY O MNIE MYŚLAŁAŚ? Martwiłaś się, wiem. Ale czy rozumiałaś, dlaczego nie umiem inaczej przeżywać śmierci matki? Czy byłaś smutna, bo było ci mnie żal, czy może dlatego, że widziałaś wyraźnie, jaki jestem, że nie umiem być inny? Dlaczego mnie takiego kochałaś? Moja miłość do ciebie jest oczywista, jak oddychanie, ale nie rozumiem twojej do mnie. Nie rozumiem jej, ale wierzę w nią. Tego mnie nauczyłaś.

NIE ODTWORZYSZ TEGO DNIA powtórnie, będzie zamazany, z wyjątkiem momentów, które były bez znaczenia.

W windzie, po uregulowaniu ostatniej należności w Saint Christopher, spotkałem tę samą pielęgniarkę, która wkłuwała się matce do żyły. Narzekała na deszcz, grzecznościowo odpowiedziałem, że pogoda pozostawia sporo do życzenia, i uśmiechnąłem się, co chyba odebrała jak kpinę, ale ja po prostu się cieszyłem.

To, co miało się stać, już się stało.

A ja cieszyłem się z wyjazdu.

Jeszcze cieszyłem się z wyjazdu.

Jeszcze nie miałem pojęcia, jaki będzie koniec tego dnia.

Jeszcze myślałem o nagich piersiach Harriet w świetle paru szczap w kominku, o ciszy otulającej nas ze wszystkich stron, o oderwaniu się od gwaru miasta, o tym, że będziemy tylko my, nikt więcej. My. Ja i ona.

A TERAZ JESTEM SAM…

SPOTYKALIŚMY SIĘ przynajmniej dwa razy w tygodniu, tęskniłem za nią przez pozostałych pięć dni, nie musiała mnie nigdzie wyciągać, chodziłbym z nią wszędzie, może nawet codziennie.

Nie była u mnie, nie miałem odwagi jej zaprosić, to by było dwuznaczne, nie byłem również u niej, chociaż dziesiątki razy mogłem zapytać, czy mogę wejść na kawę, na drinka, na cokolwiek, tak jak to robiłem wcześniej z innymi kobietami. Ale ona nie była innymi kobietami. Z nią wszystko wyglądało inaczej. Może już zostaliśmy przyjaciółmi. Bo mogliśmy rozmawiać o wszystkim. Na myśl, że Harriet zostanie na zawsze moim przyjacielem, umierałem.

– Wrażenia, które są tylko estetyczne, są niepotrzebne. – Chociaż chciałem się z nią zgadzać we wszystkim, szczerość wzięła górę.

– No proszę cię, nie żartuj.

– Estetyka nie uratuje świata. Wiedza tak.

– To na czym polega geniusz?

– Na doskonałości.

– A doskonałość? Co to jest doskonałość?

– Ona polega na tym, że wszystkie elementy jakiejś całości są tak perfekcyjnie ułożone, tak doskonałe, że nie ma się do czego przyczepić.

– I wtedy co się dzieje, jak trafiasz na coś takiego?

Spojrzałem na nią, profil też miała piękny. Szła koło mnie, czasem jej ramię ocierało się o moje. Patrzyła przed siebie, chociaż rozmawiała ze mną.

– Jeśli z czymś takim choćby na moment się spotkasz, to nagle uderza cię ta doskonałość w tym, co skrywane.

– W skrywanym? Ale dlaczego jest skrywane?

– Bo jest wstydliwe.

Zatrzymała się i zatrzymała mnie. Stanęliśmy naprzeciwko siebie na tej prawie pustej ulicy i spojrzała na mnie jakoś inaczej niż zwykle.

– Co jest wstydliwe i najgłębiej skrywane?

– Najgłębiej chyba pragnienie miłości.

Och, jaki byłem nieostrożny! Ale nie zauważyła tego mojego nagłego strachu, po prostu stanęła, spojrzała mi w oczy i powiedziała:

– Nie rozumiem, dlaczego pragnienie miłości ma być wstydliwe.

– No wiesz, przyznanie się do tego to obwieszczenie światu, że oto król jest nagi. A nagi nie jest królem, król, który jest nagi, przestaje być królem, staje się golcem. Chciałby kochać i być kochany, a w momencie kiedy się do tego przyzna, wychodzi na durnia, kurtyna opada i wszystko, co się dzieje za kulisami, jest widoczne jak na dłoni, już nie ma czego bronić, wtedy jest bezbronnym i skazanym na śmieszność błaznem, można się tylko odstrzelić, nie ma możliwości, żeby żyć w prawdzie…

Nie chciałem aż tyle powiedzieć, nie chciałem tyle powiedzieć o sobie, ścisnęło mnie w żołądku, nie podejrzewałem siebie o takie słowa, one podstępnie się ze mnie uwolniły, nawet nie pamiętałem, czy były moje, czy gdzieś przeczytane, ale poczułem się dokładnie jak błazen. Jak idiota. Jak ktoś, kto nie zasługuje nawet na dalszą rozmowę.

– Naprawdę tak myślisz?

Nie mogłem się już wycofać.

– Jestem pewien, że tak jest.

Jeszcze sobie wtedy nie zdawałem sprawy, że właśnie się obnażyłem, że dałem się podejść jak dziecko, że nie zachowałem czujności, ale Harriet jakby nie usłyszała tego, do czego właśnie się przyznałem.

Ruszyliśmy dalej w milczeniu. Nie ciągnęła tematu i to też było niezwykłe. Powoli zbliżaliśmy się do jej mieszkania. Nie chciałem się z nią rozstawać, choć była dziwnie milcząca.

– Napijemy się czegoś przed snem? Gladys jeszcze nie zamknęła.

To właśnie nas różniło.

Ja nie miałem pojęcia, kto podaje mi kawę, a Harriet znała właścicieli pubu na swojej ulicy, wiedziała, czy mają dzieci, czy nie, na co chorują, co ich cieszy, a co martwi.

Maleńki pub na rogu był otwarty, Harriet wiedziała, że mieli dziwny zwyczaj otwierania i zamykania o najróżniejszych porach. Starsze małżeństwo spędzało tu życie, bo nawet jeśli nie było gości, siedzieli w rogu przy barze i rozmawiali albo zapisywali coś w grubym zeszycie, albo oglądali coś w maleńkim telewizorku z zeszłego wieku, ustawionym na stole przy wejściu do toalety.

Harriet weszła zapytać, czy nas obsłużą mimo tak późnej pory. Gladys podniosła się z krzesła z uśmiechem, jakby na nas czekała.

– Wchodźcie, tylko tabliczkę przewieście już.

Zamknąłem drzwi i odwróciłem kartonik na „zamknięte". Gladys zaparzyła dzbanek herbaty z imbirem, postawiła dwie filiżanki, talerzyk z kruchymi ciasteczkami i westchnęła.

– Dobrze, że przyszliście. Siedzę tu, bo Jack w szpitalu. Nie chcę być sama w domu. Tu sobie wyobrażam, że zszedł do piwnicy po wino. Chcecie się napić? On the house. Posiedźcie, ile chcecie. – Zanim zdążyliśmy odpowiedzieć, podreptała za bar, odkorkowała butelkę nyetimbera, przyniosła dwa kieliszki i postawiła przed nami. – Ja muszę jeszcze policzyć cały tydzień, dobrze, że nie będę sama, pijcie, radujcie się, póki możecie, nie wiadomo, kiedy coś was rozdzieli… – I podreptała do swojego stoliczka.

Gdybym wiedział, gdybym słuchał uważniej, gdybym przywiązywał wagę do tych słów, czy zmieniłbym przyszłość?

Wypiliśmy w milczeniu pierwszy kieliszek. Harriet nie odzywała się, a ja byłem speszony naszą wcześniejszą rozmową i właściwie zadowolony, że nie wraca do tego, co powiedziałem.

Patrzyłem na nią, zmęczona była tak samo zachwycająca jak wypoczęta, ale teraz coś niepokojącego pojawiło się w grymasie jej ust i nagle zdałem sobie sprawę, że chce wrócić do naszej rozmowy, która tak bardzo jest mi nie na rękę.

– Król dopiero wtedy jest królem, kiedy jest nagi. Ja to wiem – powiedziała cicho, a ja stężałem, bo jej głos zmienił się, takiej barwy jeszcze nie słyszałem, a przecież widziałem ją płaczącą, zrozpaczoną, kłótliwą, nieszczęśliwą, roześmianą i prowokującą. Ale takiego jej głosu nie znałem. – Jest zupełnie inaczej, niż myślisz…

Nie chciałem o to zapytać, ale zapytałem:

– Skąd wiesz?

Nie chciałem usłyszeć odpowiedzi. Nie chciałem wiedzieć, ale było za późno.

– Moją duszę ktoś już trzymał w swoich rękach, bo o tym mówiłeś, prawda?

Nie, nie mówiłem o tym, mówiłem, że król jest nagi, że to straszne obnażyć się i oddać. O tym mówiłem.

Więc kiwnąłem głową potakująco.

Podnieśliśmy kieliszki i stuknęliśmy się nad tą niebiesko-białą kratką. Potem wypiliśmy do dna, jak szampana, a nie wytrawne dobre wino, i ja rozlałem butelkę do końca.

Nie chciałem wiedzieć nic o nikim, kto przez sekundę choćby sprawił, że głos Harriet nabrał takiego ciepła.

Nie mów mi! – chciałem krzyknąć, ale nie mogłem przecież krzyczeć na nią, bo kochałem ją już, a może znowu w tamtej chwili zrozumiałem, że ją kocham.

– Ktoś trzymał moją duszę w swoich rękach… Ale tak trzymał, żebym pamiętała to uczucie oddania i bezwarunkowej miłości, to niezwykłe zetknięcie obu światów, którego nie doświadcza się prawie nigdy… – Harriet mówiła tak, jakby mnie nie było, jakby sobie tylko musiała o czymś przypomnieć, a każde jej słowo zabijało mnie na nowo, wchodziło we mnie jak sztylet. – Myślę dzisiaj, że trzeba być wybrańcem bogów, żeby czegoś takiego doznać… Byłam cała pod jego niewinnym dotykiem, kiedy gładził moją twarz, która nie była tylko moją twarzą, była całą mną schowaną przed bólem, złem, cierpieniem, była mną oczyszczoną z przeszłości i ran, nie byłam blizną, byłam nieskalaną czystością, niezapisanym zeszytem, nienapisaną książką, niewypełnionym formularzem…

Tak jeszcze do mnie nie mówiła nigdy. Jakby czytała jakąś książkę, którą ktoś przez pomyłkę napisał. Patrzyłem na kratkę obrusa, nie mogłem patrzeć na nią, zdradziłbym się w okamgnieniu. Chciałem jej słuchać i nie chciałem, żeby mówiła. Chciałem wiedzieć o niej wszystko i nie chciałem wiedzieć nic. Nic więcej. Nic o żadnym mężczyźnie, a szczególnie o tym, którego przywołała w tak szczególny sposób. O jakich bliznach mówiła, o jakich niewypełnionych formularzach, o jakiej niewinności i jakiej winie? Z czego była oczyszczona, czym była ubrudzona?

– Nie od razu zrozumiałam, że tak ma być. Wiesz: *własne Ja – gdy się zaczai za Samym Sobą – przerazi bardziej niż Morderca w pokoju obok*...

Wtedy przeszedł mnie dreszcz. I może wtedy dotarło do mnie po raz pierwszy, że jej miłość do Emily Dickinson nie jest jakimś hobby – jest dla niej niezbędna, żywa, konieczna, jest czymś, co pomaga jej powiedzieć coś ważnego o sobie cudzymi słowami. Mówiła do mnie. Ufała mi. A ja skręcałem się z zazdrości o kogoś, komu już powiedziała więcej.

– My mogliśmy tylko przekroczyć nasze własne progi na chwilę, mogliśmy w nich stanąć, pokazać się na moment, jak w czasie trzęsienia ziemi, kiedy nie myślisz, co robić, a twoje ciało już jest w drzwiach, i pytasz siebie nieubraną: dlaczego ja tu jestem, zanim twoje uszy przyjmą huk ruszającej się ziemi, rozumiesz mnie?

– Kto to był, Harriet, kto to był? – usłyszałem rozpacz w swoim głosie, dlaczego zaczęliśmy tę rozmowę?

– Jeśli ktoś tak trzyma twoją duszę, to wiesz, że jesteś niepokalany, wyjątkowy; zamieniałam się w jedność, wracałam do siebie po długiej podróży, byłam w domu, nareszcie... Zrobiłam miejsce w moim sercu dla tych, których będę mogła pokochać dzięki niemu i ofiarować im to właśnie, czym zostałam obdarowana. Więc wiem, jak to jest, kiedy możesz pozwolić sobie na pragnienie. Jesteś jedyną osobą, której o tym opowiedziałam. Pytałeś mnie, gdzie byłam przez ostatni rok. Szukałam siebie.

– A znalazłaś jego? – Mój głos był obity bólem jak tapicerowany fotel. Usłyszałem to. Trudno.

Harriet podniosła wzrok, jej oczy nagle zaszły łzami, nowymi łzami, a mnie zabolało coś w środku.

– Znalazłam siebie dzięki niemu – powiedziała, a głos jej się załamał. – Dlatego mogłam wrócić. Mogłam zacząć od nowa.

Podniosłem się i podszedłem do Gladys, nachyliłem się nad nią i zapytałem, czy mogę kupić jeszcze jedną butelkę wina. Kiwnęła głową przyzwalająco, poszedłem za bar.

Kochała kogoś innego.

A ja kochałem ją.

Nigdy się nie spotkamy.

Nigdy już nie będę się mógł z nią spotkać.

To za dużo dla mnie.

Pozbawiła mnie nadziei.

Otworzyłem butelkę i wróciłem do stolika.

Kocham cię – chciałem powiedzieć, bo już to mogłem powiedzieć na pożegnanie.

Zamiast tego nalałem wina do kieliszków. Oczy Harriet wypełniły się łzami.

– Powiedział mi... na pożegnanie...

– Powiedział co?

– Jesteś wybrana do miłości. Jak każdy... On, ten, w którego ty nie wierzysz, mówi do ciebie: nauczę cię kochać, nauczę cię się nie bać, nauczę cię nie oceniać i nie oczekiwać, dawać i brać, nauczę cię, jak otwierać pozamykane drzwi i jak uciekać z więzienia, nauczę cię, jak wybierać radość i nie tłumić bólu. Nauczę cię, jak płakać, żeby wypłakać wszystkie łzy i wiedzieć, że pod spodem jest tylko miłość, przenajczystsza i spełniona, dlatego tyle łez potrzebowałaś, żeby się ukryć, żeby udawać żal albo rozczarowanie, albo dumę niepotrzebną. On mówi: nauczę cię, jak zrzucać pokrywy, pod którymi się ukryłaś, i jak wyjść ze schronu, jak nie bać się wojny, którą wymyślasz codziennie na nowo, żeby usprawiedliwić swój brak miłości.

On, jaki on?

– Kto? Harriet, kto?

Jakby nie słyszała mojego pytania.

– I wiedziałam, że muszę tylko zapamiętać to uczucie absolutnego spokoju i harmonii, muszę tylko nie zapomnieć nigdy nagłego obnażenia, nigdy nie byłam tak bezbronna wobec nikogo, tak naga i tak dokładnie otulona łagodną delikatnością czystej akceptacji…

– Harriet… Kto? Kto to był?

– Potem udzielił mi rozgrzeszenia… Przytulił mnie… Pocałował mnie w czoło, potem zrobił znak krzyża na tym pocałunku, podałam mu obie dłonie na pożegnanie, uścisnął je lekko i odszedł, a ja klęczałam naprzeciwko tego kamienia, tego kamiennego ukrzyżowanego mężczyzny i modliłam się. I przestałam się bać. Dopiero wtedy. Kiedy ten zakonnik zobaczył, że król jest nagi… Nie on, on tylko pośredniczył… Nigdy nie wiadomo, kogo ci On postawi na drodze. Mnie postawił tego staruszka…

ULGA, JAKĄ POCZUŁEM, była jak nagła martwa fala, niespodziewana, która odbiera ci dech, i nie wiesz, czy już umarłeś, czy będziesz walczył o życie. Byłem o krok od uwierzenia, że wszystko jest możliwe, i myślałem, że stracę przytomność. I nie wiedziałem, co zrobić, co powiedzieć, wiedziałem tylko, że jest naga, a ja miałem na sobie wszystkie warstwy istniejące na ziemi. Naga była piękna, a ja musiałem sobie przywrócić oddech.

I RAZ… i raz… i raz… I znowu ucisk… Teraz tego nie potrzebuję… Równomierny ucisk, jakby ktoś chciał mnie udusić albo zmusić do wzięcia oddechu, którego już nie chcę…

Czy On mi ciebie postawił na drodze, Harriet? To dlaczego mi ciebie odebrał?

WYSZLIŚMY OD GLADYS, milcząc, i stanąłem na rogu, pod jej oknami na drugim piętrze, a wtedy dopiero wzięła mnie za rękę i pociągnęła w bramę. Szliśmy po schodach, ona z moją ręką w dłoni, i nie puściła, dopóki nie musiała sięgnąć po klucze.

Otworzyła drzwi przede mną i wszedłem do prawie pustego wnętrza.

– Pytałeś, dlaczego rzeźbię… więc ci chcę pokazać dlaczego. To odlew rzeźby Falender… Jak ją zobaczyłam po raz pierwszy, chyba we Francji, to wiedziałam, kim chcę być. – Zapaliła światło i wtedy zobaczyłem.

Na wysokim drewnianym postumencie, oświetlony maleńką lampką, kawał skały z czymś w środku, a może wychodzącym ze środka, z powiewem muślinu, w niezgodzie z tym kamieniem.

Podszedłem bliżej i zobaczyłem całość.

Kawał brązowego kamienia, zwiewny jak materiał, przyjmował w siebie postać. Do wewnątrz wchodził mężczyzna, jakby przez wiotką zasłonę, zatopiony już do połowy w środku bryły, tylko umięśnione pośladki i napięta łydka świadczyły, że wstępował tam zdecydowanie, naprężone plecy – że wchodzi tam jak po swoje, ramię uniesione, jakby chciało objąć to, co niewidoczne, a dla niego znajome.

Spojrzałem na Harriet.

Patrzyła na mnie z niepewnością, po raz pierwszy od paru tygodni, jakby znowu była naga.

– Mogę dotknąć? – zapytałem, a ona kiwnęła twierdząco głową.

Podeszła i obróciła rzeźbę o sto osiemdziesiąt stopni.

Teraz w kamienną bryłę wchodziła kobieta – delikatna linia bioder jeszcze była widoczna, rozłożone ręce przygotowane na przytulenie kogoś dawno niewidzianego albo długo wyczekiwanego – znikająca w twardym granicie, wypolerowanym, zimnym, a jednak przypominającym muślin. Jej uniesiona stopa była delikatna i szczupła, jej pośladki – drobne i gładkie.

Obróciłem raz jeszcze zimny granit. Teraz widziałem zarys i jego, i jej, przedzielonych, a może nie przedzielonych, tylko złączonych niezwykłą stałością grubej kamiennej zasłony?

Nie byli naprzeciwko siebie, jedno wchodziło z prawej, drugie z lewej strony.

Być może gdzieś w środku miną się ich rozłożone ramiona, gotowe, żeby objąć to drugie, a może tylko ich palce musną się, zanim wyjdą z drugiej strony granitowego aksamitu?

Nie mogłem oderwać oczu, było w tym tyle siły, tyle poddania, tyle delikatności, oczekiwania i mocy, niemożności i przekraczania tego, co niemożliwe, że sam zastygłem w zdziwieniu.

Ten mężczyzna był mną, ta kobieta to była Harriet.

– Nigdy nie mogą się spotkać – wyszeptałem.

– Dla mnie mogą się spotkać w sobie tylko znanej przestrzeni – powiedziała cicho Harriet. – Może nieznanej nikomu innemu, tylko im samym. Ryzykują wejście w kamień… jak w Morze Czerwone. I on się rozstępuje, kiedy podejmą już decyzję. A może nawet oni sami nie wiedzą, co to za przestrzeń… Zupełnie jak my…

Zupełnie jak my.

Powiedziała: „zupełnie jak my".

Nie przesłyszałem się.

STALIŚMY OBOK SIEBIE naprzeciwko tamtych dwojga, znikających przecież, pomyślałem, że jak się odwrócę, zamknę oczy, spojrzę drugi raz, znikną zupełnie, wejdą do środka, może tylko wgłębienie zostanie po nich, tak żywa i plastyczna była ta twardość.

A potem odwróciłem się do Harriet, dotknąłem jej ramienia, odwróciła głowę z oczekiwaniem w oczach, i ująłem jej twarz w swoje dłonie.

– Może kiedyś jej dorównam… – szepnęła. – W każdym kamieniu jest rzeźba, trzeba tylko umiejętnie zdjąć z niej ten pył…

– Kocham cię – powiedziałem i tym razem się nie bałem.

GRUBY SWETER HARRIET, broniący dostępu do niej, mój granatowy, jej kolorowe buciki tym razem związane rzemykami, ale z zamkiem od wewnętrznej strony, jej spódnica w czerwone maki, moje spodnie, mój zegarek. Moje dłonie powoli przesuwające się w kierunku kawałeczka odsłoniętej szyi i ramion, do których dostępu pilnował sweter, więc powracające na twarz, jej twarz podniesiona w moją stronę, ulegle poddająca się moim dłoniom; wkładałem palce w jej włosy, które rozsypywały się, i czułem ciepło jej skóry, położyła mi ręce na biodrach i delikatnie przeniosła je powyżej paska, nie było żadnej gwałtowności, żadnego niepokoju, pośpiechu, że szybciej, szybciej, pochyliłem twarz w kierunku jej włosów, czułem zapach, ślad zapachu zielonych jabłek, a jej dłoń pod moim swetrem dotykała już moich pleców, zostawiając tam na zawsze ślad nie do starcia; oddychałem nią, rodziłem się powtórnie pod jej dotykiem i powoływałem ją do życia. Jej uszy zamknąłem we wnętrzu swoich rąk, były najbardziej kruchą rzeczą na świecie, dotknąłem jej ust, rozchyliły się tak naturalnie, jakby na mnie czekała od zawsze.

Oparła się o długi drewniany stół, opuściłem ręce i delikatnie dotknąłem jej bioder okutanych szeroką spódnicą. Jej palce mocniej zaznaczyły swoją obecność na moich plecach, podciągnęła lekko mój sweter i przesunęła ręce na brzuch, nie odsuwając się ode mnie ani na milimetr.

Całowałem kąciki jej ust, moje wargi zsuwały się niżej tak naturalnie, jakby od zawsze wędrowały tą drogą, do brody, potem w bok, do koniuszka ucha, do szyi, która tętniła życiem coraz mocniej, czułem przepływającą krew, pulsowała pod moim dotykiem, odsunąłem się, spojrzałem jej prosto w oczy, była w nich zgoda na wszystko, co się miało stać, spokojne poddanie się temu, co miało nastąpić. Wyciągnęła do mnie ręce, objęła moją twarz po raz pierwszy i przechyliła do swojej, pociągnęła mnie w siebie, tak jakbyśmy to robili zawsze, a potem wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do sypialni.

STANĘŁA NAPRZECIWKO i zdjęła sweter, ściągnęła spódnicę i wyszła z jej kręgu w swoich zabawnych bucikach z rzemykami.

Schyliłem się i przesunąłem zamki błyskawiczne butów w dół, klęknąłem przed nią i delikatnie wyjąłem jej nogę z buta, najpierw jedną, potem drugą. Oparła się o moją głowę, a jej dotyk był jak błogosławieństwo.

Przesuwałem wolno ręce od kostki w górę, po zewnętrznej stronie ud, i przytuliłem twarz do jej nogi. Ona znieruchomiała, a ja zadrżałem. I trwaliśmy tak, dopóki nie schyliła się i nie podciągnęła mo-

jego swetra w górę, rozprostowałem ramiona jak dziecko, któremu ktoś pomaga się rozebrać.

Objąłem ją w pasie i mocno przyciągnąłem do siebie, jej brzuch zasłonił mi nos i usta, chciałem tak zostać do końca świata w tym słodkawym zapachu budzącego się pragnienia, jej brzuch przyzywał mnie, wodziłem ustami po gęsiej skórce, która pojawiła się jak dreszcz pragnienia, i czułem smak jej ciała, po raz pierwszy w życiu czułem czyjś smak, nieokreśloną słoną słodkawość, którą chciałem scałować milimetr po milimetrze.

Nie było czasu ani przestrzeni, nie było mieszkania ani miasta, nie istniało nic prócz nas, zostaliśmy przeniesieni w nieznany świat.

Zsunęła się do mnie, już pozbawiona stanika, bezwstydna i niewinna, przesuwała się pomiędzy moimi ramionami niżej i niżej, jej włosy opadły na moją twarz, jej piersi dotknęły mych policzków i powędrowały niżej, a usta trafiły na moje i przywarły do mnie, tak jakby były stworzone wyłącznie i od zawsze tylko dla mnie.

Wstrzymałem oddech, serce waliło mi jak młot pneumatyczny, bałem się, że jeśli znowu zacznę oddychać, wszystko się skończy, a chciałem, żeby trwało wiecznie. Całowała mnie i między pocałunkami szepnęła: tak, na pewno tak...

Nie wiem, czy upewniała mnie, czy siebie, ale już byłem poza...

Poza wszystkim, co nie było nią...

WILGOĆ... Jaki zapach ma woda?

Pić...

Pracownia Harriet. Ona podnosi drewniane wieko. Do połowy wypełniona gliną kamienna trumna kryje całuny, wilgotne szmaty pokrywają ciemne błoto, Harriet nachyla się i poprawia materiał.

– Nie może wyschnąć, będzie do niczego. Przywożą mi ją aż spod Dartmoore. Piękna, prawda?

Skinąłem potakująco. W tym błocie nie było nic pięknego. Zapach tylko specyficzny, ale kojarzył mi się z czymś lepszym niż to, na co to coś wyglądało. Z mokrą łąką, dorzeczem rzeki. Zapach wody... pić...

– CO SIĘ STAŁO, WHITMAN?

Myślałem, że ukryję przed nią to, co się zdarzyło. Ale nie, Harriet miała radar, który wychwytywał zmiany, nawet te, których ja nie byłem świadomy. Mogłem powiedzieć, że nic, ale i tak wiedziałaby, że to nieprawda.

– Matka... matka jest bardzo chora.

– To twoja matka żyje?

Zdziwienie na jej twarzy było tak zaskakujące, jakby złapała mnie na oglądaniu o trzeciej w nocy porno z udziałem Myszki Miki.

– Żyje.

– Nie mówiłeś, że masz matkę.

– Każdy ma.

– Żyjącą – dopowiedziała. – Nigdy o niej nie mówiłeś.

– Nie pytałaś. – Nie chciałem rozmawiać o swojej matce.

– Bo myślałam, że nie żyje, i...

– Nie chcę o niej rozmawiać – nie pozwoliłem jej skończyć zdania.

– Whitman, jesteś blady jak kreda, co się stało? O niczym nie chcesz mówić, wszystko jest nieważne, ale tym razem muszę wiedzieć... Musisz mi powiedzieć.

– Po prostu jest chora. Ciężko. Zadzwonili do mnie...

– Kto?

Milczałem.

– Kto zadzwonił do ciebie? – Podeszła do mnie blisko i usiadła na oparciu fotela. Czułem jej ramię przy swoim ramieniu. Ogarnęło mnie ciepło, nie byłem sam.

– Jakiś lekarz…

– Lekarz ze szpitala? Tu, w Londynie? Którego?

– Z zakładu… – Wstałem i otrząsnąłem się, jakbym strzepywał z siebie i swoją matkę, i Harriet.

Ona nie wstała.

Podszedłem do barku i nalałem sobie whisky.

– Dla mnie też – usłyszałem za sobą i wyjąłem drugą szklankę.

Nie wróciłem na fotel, podałem jej szklankę i siadłem przy stole. Patrzyłem na złocisty płyn, lubiłem whisky, ta była osiemnastoletnia, miała szczególny zapach, upiłem porządny łyk, ciepło rozlało się w żołądku, przechyliłem szklankę i wypiłem duszkiem do dna. A potem wstałem i nalałem sobie drugą kolejkę.

Wtedy usiadła naprzeciwko mnie.

– Z jakiego zakładu?

– Dla psychicznie chorych. – W moim głosie nie było już strachu, raczej zaczepka. Patrzyłem jej prosto w oczy, upijając kolejny łyk.

– Twoja matka jest psychicznie chora? – zapytała mnie tak, jakby pytała, gdzie położyłem kluczyki od samochodu.

– Tak. – Przechyliłem szklankę. – No i co teraz powiesz?

– Musiało ci być z tym ciężko – powiedziała cicho. – Teraz jest gorzej?

– Tak – potwierdziłem krótko i na tym skończyłem rozmowę.

Ale Harriet nie.

Harriet nie kończyła rozmów w ten sposób.

– Jedziesz do niej?

Niepotrzebne to było.

– Zwariowałaś?! – Byłem coraz bardziej zły i coraz bardziej odważny. – Po co? I tak nie odróżni mnie od salowego!

Patrzyłem jej prosto w oczy.

Nie zmieniały się – było w nich tylko współczucie. Nie chciałem współczucia. Miałem w przeszłości powyżej uszu współczujących spojrzeń i litości, za którą kryła się tylko obawa, czy ja jestem w porządku, czy trzeba bardzo na mnie uważać, czy ja też będę szalał, smarował się własnym gównem, próbował dźgać nożem wzywanych sanitariuszy, czy ja też będę w nocy rozebrany do naga wychodził na próg domu i budził krzykiem sąsiadów, czy mnie też będą wywozić w kaftanie bezpieczeństwa, a po moim ewentualnym powrocie udawać, że wszystko jest w porządku, tylko na wszelki wypadek mnie unikać, nie rozmawiać ze mną, zachować odpowiedni dystans, bo przecież wszyscy jesteśmy kulturalnymi ludźmi, bo przecież rozumiemy, że ktoś jest chory, tylko nagle nie mamy czasu, proszę pozdrowić, proszę wybaczyć, proszę zapomnieć, proszę wykreślić.

Telefony, na które się nie odpowiada, znajomi, którzy nagle przestają poznawać na ulicy – w okresach nawrotów. Pamiętałem matkę zażywającą lit, uspokojoną, już może wrócić do domu, już wszystko będzie dobrze, to choroba jak każda inna, można leczyć pacjenta, na cukrzycę też leczymy do śmierci, nie ma się czego wstydzić, choroba dwubiegunowa jest do opanowania, cyklofrenia przy braniu leków jest taką samą chorobą jak wrzody dwunastnicy, trzeba tylko pilnować, żeby brała leki systematycznie. Będzie dobrze. To taka sama choroba jak…

Nie.

Nie jest.

Jesteś oznakowany na zawsze. Piętno masz wypalone na czole. Syn tej wariatki. To w genach się ma takie szaleństwo. Musimy być czujni. Musimy obserwować. Nie narażać się i nie zbliżać. Wtedy będzie wszystko OK.

– Whitman – usłyszałem wśród tych głosów jej głos. Był inny, spokojny, normalny. – Nalej mi też i opowiedz o swojej matce.

– MOŻESZ MI COŚ ZAŚPIEWAĆ na początek – zaproponowałem.

– Nie umiem śpiewać.

– Nie szkodzi.

Uniosła się na łokciu.

– Ty mówisz serio?

– Najzupełniej. Właśnie dlatego, że nie umiesz. Będzie mi łatwiej.

– Po prostu chcesz, żebym się skompromitowała?

– Coś takiego.

– A ty mi potem zaśpiewasz?

– Kiedyś na pewno.

– Obiecujesz?

Mogłem obiecać.

Słowo „kiedyś" usprawiedliwiało każdą obietnicę.

Czekałem.

Usiadła i podciągnęła kolana pod brodę. Zamknęła oczy i zaczęła nucić. Ktoś być może kiedyś dla mnie śpiewał, ale nie pamiętałem, kto i kiedy.

Dziura w pamięci otworzyła się na moment, ale nie miałem czasu na szukanie.

Na pewno nie takiego czegoś.

Patrzyłem w niebo, chmurzyło się, samotny czarny punkt kołował gdzieś daleko.

I kto to był ten, co śpiewał, ta, co śpiewała?

Spojrzałem na Harriet. Miała znowu poranione ręce. Od krzyżaków. Obejmowała tymi poranionymi dłońmi kolana, brodę opierała na dłoniach, oczy miała dalej zamknięte. Ładnie zaśpiewała, jakbym nie słuchał, jakby sama była tutaj, beze mnie. Śpiewała dla siebie.

– Ma zostać chociaż żal, że nie żal? To bez sensu – powiedziałem i pożałowałem tej chwili ciszy, tego ptaka pod chmurą, jej zamkniętych oczu.

Bo teraz przywróciłem ją i ślad tego wspomnienia innej piosenki zniknął, i dziura się znowu zasklepiła.

– No, bo dopóki ci chociaż żal, że nie możesz przynajmniej żałować, to znaczy, że jeszcze nie cały obumarłeś, nie rozumiesz? Że jeszcze odróżniasz. Jak ludzie przestają odróżniać, to świat się kończy.

ODŁAMKI MI SIĘ TYLKO TERAZ POJAWIAJĄ. Kawałki czegoś, co było całością, pięknem, nieskończonością, tylko nie wiedziałem o tym.

Rozpoznaję je po tych strzępkach. Dlaczego nie mogę ogarnąć całości?

Dlatego, że umarła?

– PO CO ŻYJESZ?

– Jak to po co?

– Po co?

– W sensie dlaczego?

– Nie, w jakim celu żyjesz?

– Po prostu urodziłem się i żyję.

– Ale po co???

– Harriet, co to za pytanie? A ty po co żyjesz?

– Żeby się zachwycać wszystkim, co widzę. Żeby podziwiać. Żeby poznać. Żeby wiedzieć, żeby robić błędy i żeby naprawiać swoje błędy, żeby wierzyć, że jest sens w tym wszystkim, nawet jeśli straciłam z oczu ten sens, żeby kiedyś gdzieś tam, w dalekiej przyszłości, móc stanąć przed i powiedzieć bez wstydu – oto ja. Jestem.

– Stanąć przed kim?

– Jak zwał, tak zwał, przed Bogiem, nieskończonością, najwyższą instancją, sobą prawdziwą...

– Teraz jesteś nieprawdziwa?

Jakby nie usłyszała mojej zaczepki, bo na pewno takie były moje intencje, przeszła nad tym do porządku dziennego, tak jakby nagle zaczęło kropić, a ty wyszywasz sztandar pomocy dla wyliniałych chomików chorych na cukrzycę – przecież nie przerwiesz tej idiotycznej pracy z powodu paru kropel idiotycznego deszczu gdzieś za oknem.

– I żeby kochać – powiedziała, kończąc poprzednie zdanie, i spojrzała mi prosto w oczy.

HARRIET, CZY WIEDZIAŁAŚ, że cię kocham?

Czy odchodziłaś w nicość i wszystko to było już tylko wielką obojętnością? Jak mam teraz żyć?

– PRZYCHODZI TAKI MOMENT, kiedy musisz się położyć, by wyrównać oddech i uspokoić myśli. Nic nie robić, tylko być w tym momencie i zobaczyć, gdzie jest siła, która pozwoli ci się podnieść. I czy będzie ktoś, kto pozwoli ci stanąć na nogi. A może będziesz musiał jeszcze leżeć. Może jest jeszcze moment na leżenie, może trzeba sobie pozwolić leżeć po prostu, niczego nie szukać i niczego nie znajdować. Czas na leżenie. To też jest ważny czas, Whitman.

– Myślę, że musimy wstać, trzeba coś robić.

Byłem przeciwnikiem nicnierobienia.

– Dlaczego coś musisz?

– Bo ludzie muszą różne rzeczy.

– Na przykład jakie?

– Harriet, na miłość boską!

– Whitman, na miłość boską! Na przykład jakie?

– Musisz wstać rano, prawda?

Spojrzała na mnie, jakbym spadł z księżyca.

– Dlaczego musisz?

– Nie bądź śmieszna.

– Powiedz mi, Whitman, dlaczego musisz?

– Bo tak. Bo tak trzeba. Muszę wstać, muszę się umyć, muszę pracować.

– Dlaczego musisz?

– Jak nie wstanę, to się nie umyję, jak się nie umyję, to będę śmierdział, jak będę śmierdział, to mnie wyrzucą z pracy, i tak dalej, i tak dalej.

– Ale dlaczego musisz?

– Bo nie będę miał pieniędzy na życie. Bo umrę z głodu. Bo mnie wyrzucą z mieszkania. Bo, bo, bo. Rozmawiasz ze mną, jakbyś miała trzy lata.

– Nie mam trzech lat. Tylko chcę ci powiedzieć, że ja nie muszę. Nie muszę wstawać rano, chociaż wstaję. Nie muszę się myć, chociaż się myję. Pracuję, chociaż nie muszę. Ja dokonuję takiego wyboru. Nie chcę śmierdzieć, nie chcę tracić czasu, nie chcę tracić życia, chcę mieć pieniądze na podróże, przyjemności...

– I buty – dodałem złośliwie, chociaż trzymałem jej gołe stopy w swoich dłoniach. Lubiła, kiedy ją głaskałem, więc głaskałem, tak jak lubiła.

– I buty. Pomyśl, ilu ludzi żyje z moich butów. Mam siedemdziesiąt trzy pary butów, ale nie mam brylantów ani złotego zegarka tak jak ty; ja lubię tylko buty, więc decyduję się na kupno butów, a nie przymuszam się do tego. Ja nic nie muszę. Ty też nic nie musisz. Możesz po prostu podjąć decyzję. Decyzję podejmują ludzie dorośli, przymus to ucieczka do dziecka, któremu ktoś coś nakazuje. Możesz nie wstawać, możesz się nie myć. Sprawdź, jak się będziesz z tym czuł.

– Nie zniosłabyś mnie wtedy.

– Jesteś idiotą, Whitman – powiedziała. – Nie mów mi nigdy, czego bym nie zniosła. Nie wiesz lepiej ode mnie. A jeśli jesteś ciekaw, to sprawdź.

Była naprawdę oburzona. Sięgnęła po książkę i zwinęła się w kłębek na drugim końcu kanapy. Nie wiedziałem, co powiedzieć ani co zrobić. Nie wiedziałem, czy jest obrażona, czy ma mnie dosyć. I czułem się jak idiota. Chciałem włączyć telewizor, ale siedziałem sztywno, bo nie wiedziałem, czy newsy nie będą jej przeszkadzały. Chociaż chciałem jej przeszkodzić. I nie wiedziałem, o co chodzi. Ludzie robią różne rzeczy, bo muszą, i każdy o tym wie. Każdy oprócz Harriet. A ja nie chciałem się z nią kłócić. Chciałem, żeby było tak jak przed chwilą.

Ale sztywniałem coraz bardziej i nie wiedziałem, co zrobić.

Wstać, iść?

Gdzie iść?

Byliśmy w moim mieszkaniu.

I co ona zrobi?

Skończy czytać i nawet nie pocałuje mnie na dobranoc?

Jak się położymy?

Razem czy osobno?

Odwróci się do mnie tyłem?

Odrzuci mnie?

Teraz mnie odrzuciła.

– Whitman? – usłyszałem z drugiego końca kanapy. – A będziesz sobie robił herbatę?

– Nie – warknąłem, choć nie chciałem warczeć, chciałem tylko zrozumieć.

– A mnie byś nie zrobił?

Najpierw mnie unicestwia, a potem prosi o herbatę.

– Zrobiłbym.

– To zrób, bo mi się nie chce ruszyć. – Patrzyła na mnie uważnie, jakbym był królikiem doświadczalnym w jakimś eksperymencie jej tylko wiadomym.

Podniosłem się sztywno.

Potem, kiedy leżeliśmy już w łóżku, przytuliłem się do jej pleców, objąłem ją i wyszeptałem:

– Przecież wiem, że poprosiłaś mnie o herbatę, żeby się ze mną pojednać…

– Poprosiłam cię, bo mi się nie chciało wstawać – wymruczała.

– Chciałaś, żeby mimo wszystko było OK między nami.

Odwróciła się do mnie i zapaliła nocną lampkę. Cały nastrój diabli wzięli.

– Jest dobrze między nami.

– Obraziłaś się. – Zmrużyłem oczy, nienawidzę być pod obstrzałem jej wzroku. Patrzy na mnie tak jakoś… jakby szukała dziury w całym.

– Nie obraziłam się. Zezłościłam się tylko, że nic nie rozumiesz.

– No właśnie. – Odsunąłem się trochę, była za blisko na taką rozmowę.

– Whitman – przytrzymała moją rękę – mogę się na ciebie złościć również. Nie przestaję cię wtedy kochać.

I wówczas spłynęło coś ze mnie, zadławiło mnie niespodziewanie i nie wiedziałem, co mam zrobić.

Sięgnąłem do wyłącznika i zapadła ciemność. Leżałem sztywny i nie miałem pojęcia, co się ze mną działo. Ponownie odwróciła się do mnie tyłem, potem poszukała mojej ręki i przyciągnęła ją do siebie. Przyciskała swoją dłonią moją dłoń do swojej piersi. Czułem bicie jej serca.

Miasto za oknem umilkło. Nie było słychać nic oprócz jej spokojnego oddechu, ja oddychałem płytko i szybko, bezgłośnie, byłem w miejscu nieznanym, coś się we mnie ruszyło, ale jeszcze nie wiedziałem co ani w jakim kierunku to coś idzie.

Leżeliśmy tak, uścisk jej dłoni zelżał, nie było mi wygodnie, właściwie żałowałem, że nie jestem sam, w tamtej chwili naprawdę chciałem być sam, choć nie wiem, co bym wtedy robił, może bym wstał,

może bym zapalił światło, może napiłbym się drinka, może wziąłbym prysznic. Chciałem być sam, ale leżała obok mnie.

I kiedy myślałem, że już śpi, odsunąłem się delikatnie, żeby pomyśleć, o co jej chodzi, dlaczego tak się dzieje i co się dzieje, wtedy usłyszałem:

– Pozwól się kochać, Whitman.

MOŻE GDYBYM NIE POJECHAŁ do zakładu…

Nie musielibyśmy przekładać wyjazdu o całe dwa tygodnie. I ona nie pojechałaby tamtego dnia w góry i nie czekała na mnie.

Wyruszylibyśmy razem teraz, tak jak to było ustalone, chociaż we dwa samochody.

Ale pojechałem do zakładu Saint Christopher.

Zarejestrowałem się w recepcji, udawali, że nie są zdziwieni.

Odwiozłem tam matkę trzy lata temu i od tamtej pory tam nie byłem. Nie można odwiedzać kogoś, kto cię nie rozpoznaje, kto cię nie pamięta, dla kogo jesteś bardziej obcy niż pielęgniarka, która szpikuje cię codziennie odpowiednią dawką leków.

A jednak pojechałem. Kupiłem nawet chustkę z kaszmiru, nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że to dobry prezent dla ciężko chorej osoby, na filmach taką chustą otula się plecy albo kładzie na kolana kogoś na wózku inwalidzkim.

Zostałem wprowadzony do pokoju matki, numer 25, trzeciego po lewej stronie. Łóżko stało pod oknem, a na nim leżała kobieta.

Nie przypominała mojej matki, nie przypominała nikogo, była podobna do sztucznego stracha, w Halloween wystawianego przed domami. Nie zdawałem sobie sprawy, że mogła aż tak schudnąć. Sterczący w sufit nos był ostry, kości policzkowe wystawały z dwóch dołów po obu stronach nosa, wąskie usta zapadły się w głąb, a dolna szczęka… prawie jej nie było. Potargane resztki siwych włosów leżały na poduszce jak pocięte niedbale nici, zostawione przez zapomnienie. Oczy miała otwarte, wlepione w sufit z uwagą, jakby tam była jedyna rzecz warta zainteresowania.

– Mamo? – Odważyłem się powiedzieć to słowo.

Postać z łóżka nie zareagowała.

Delikatny dotyk dłoni pielęgniarki na plecach pchnął mnie w stronę okna.

– Nie słyszy pana. Jest nieprzytomna. Silne leki. To już końcówka – usłyszałem cichy, pełen współczucia głos.

Powinnaś umrzeć dwadzieścia lat temu – pomyślałem. Teraz i tak jest za późno na twoją śmierć. Nie zmieni to przeszłości, a może wszystko byłoby inne, gdybyś umarła wcześniej. Może ojciec by nie zniknął tak nagle z tymi swoimi dwoma obrazami i brązową walizką. Może ja nie byłbym przezroczysty, a ty byś się nie męczyła w tych różnych strasznych miejscach. Może bym pamiętał, że cię kochałem mimo wszystko.

ZNOWU BYŁEM PRZY NIEJ, ale tak naprawdę sam. Nic się nie zmieniło. Mogłoby jej nie być w tym pokoju. Mogła umrzeć już dawno temu. To było bez różnicy. Bez różnicy.

Podszedłem do łóżka i dotknąłem jej dłoni, była sucha jak zwiędły liść, miałem wrażenie, że jak ją uścisnę, to zaszeleści i rozsypie się w proch.

Siadłem przy łóżku. Niczego nie mogłem wyjaśnić, o nic nie mogłem zapytać, niczego już nie mogłem się dowiedzieć. Mogłem tylko towarzyszyć.

– CO SIĘ DZIEJE, HARRIET? Czy ja coś zrobiłem… – Nie chciało mi przejść przez gardło to, czego byłem pewien – że ma mnie dosyć, że wszystko się zmieniło, że odejdzie, zostawi mnie, znudziło ją moje… Co mam zrobić?

– Czasem, Whitman, nic nie można zrobić. Nie można działać. Wtedy musisz włączyć niedziałanie, nierobienie. To i tak dużo. Wtedy tej drugiej osobie towarzyszysz, to jest to coś, co możesz dać. Dałeś

mi to, jak się spotkaliśmy pierwszy raz. Więc proszę cię, jeśli chcesz mi pomóc, to nie rób nic, po prostu bądź. Nie jestem gotowa, żeby ci to wytłumaczyć. Znieś tę niepewność, bo nie mam siły zajmować się teraz tobą i twoim samopoczuciem, nie chcę ci nic powiedzieć, bo nie mam siły… tu nie chodzi o ciebie, ale o mnie…

Tak powiedziała Harriet.

Ale przy jakiej okazji?

Moja matka nic mi nie może powiedzieć.

Z niczego nie może się wytłumaczyć, nie ma siły. Moja matka nic już nie zrobi, nic nie zostanie wyjaśnione, przeproszone, pojednane, zrozumiane. Nic.

– WHITMAN, tylko na tym opiera się nasze człowieczeństwo… Ty nie musisz jej niczego wybaczać, dzieci mogą tylko prosić o wybaczenie… przeprosić, podziękować… poprosić…

– MAMO? – Nachylam się nad wychudzoną postacią, oczy tak samo nieruchomo wbite w sufit. – Posiedzę z tobą – mówię do białych ścian, szkoda szala, nawet go nie dotknie, nie poczuje, że ciepły, może powinienem go dać którejś pielęgniarce?

Rozglądam się po pokoju, drugie łóżko jest puste, pewno przenieśli kogoś na czas umierania, płaciłem za pokój dwuosobowy, na pewno teraz usunęli tę drugą osobę, żeby nie była świadkiem ostatecznego odbierania nadziei.

– Mamo – mówię tępo i znowu dotykam liścia z pięcioma wykrzywionymi palcami. Dłoń jest zimna, chociaż w pokoju jest ciepło.

– Przyjechałem, to ja, twój syn, Andrew – mówię cicho, tak jakby mogła mnie usłyszeć.

Leży nieruchomo, próżny mój wysiłek, niepotrzebny przyjazd. Po co przyjechałem?

– Nie zrobisz tego dla niej, Whitman, zrobisz to dla siebie, pamiętaj, a to jest warte wysiłku. To nieważne, co ci zrobiła, to nie ona, ale jej choroba, ona cię urodziła i kochała, tak jak potrafiła.

– Mamo, przyjechałem tutaj do ciebie – mówię w przestrzeń, bo może Harriet słyszy, choć w to nie wierzę. – Przyjechałem, bo umierasz i chciałem cię zobaczyć… Chciałem usłyszeć dlaczego, ale już mi nie odpowiesz, niczego nie wytłumaczysz, a ja chciałem ci powiedzieć, że powinnaś była brać leki… że mogłaś mieć lepsze życie, że ja mógłbym być innym człowiekiem. A ty zrobiłaś ze mnie…

– NIKT Z CIEBIE NIC NIE ZROBIŁ, Whitman. Jesteś dorosły i to ty wybierasz, co ze sobą zrobisz lub czego nie zrobisz. Nie zwalaj na nikogo winy za dzisiaj. Owszem, kiedyś, w przeszłości, jak byłeś dzieckiem – serce mi płacze, jak pomyślę, co ci zgotowała choroba matki – ale dziś nie jesteś dzieckiem.

– MAMO, chciałem ci zawsze powiedzieć, że zgotowałaś mi piekło. Przyłożyłaś mi do serca rozpalone żelazo, żebym nigdy nikomu nie zaufał, żebym się bał, tak jak ty, każdego odruchu, który może mnie wyprowadzić z tej cholernej jaskini, jaką nam zafundowałaś!

– WHITMAN, nie bądź podobny do tych, którzy obwiniali twoją matkę, nie bądź podobny do dziecka, którym byłeś i które się wstydziło choroby, zrozum coś nareszcie!

– MAMO – mówię i nagle jawi mi się moja matka, roztańczona, wesoła, kiedy jeszcze nie wiedziałem, że to również objaw choroby, ten jej drugi biegun, radosna, z policzkami poczerwieniałymi z podniecenia radością, tańcem, światem, która bierze mnie za obie ręce i kręci się ze mną w kółko, a świat zaczyna wirować razem z nami, kręci mi się w głowie, ale moja matka jest taka szczęśliwa, a potem przewracamy się razem na dywan z długim włosem, w kolorze łososiowym, a ona śmieje się, przytula mnie i szepcze: jesteś moim skarbem, moim ukochaniem, i nagle ściska mnie w gardle.

– Mamo, przyjechałem – mówię cicho, bo Harriet na pewno mnie słyszy. – Przyjechałem, chociaż wiem, że możesz o tym nie wiedzieć. Ale jestem z tobą, nie jesteś sama. – Chowam jej rękę pod kołdrę,

jest wiotka jak szmatka, podchodzę z drugiej strony łóżka i biorę drugą dłoń w rękę, przez sekundę wydaje mi się, że się poruszyła, ale to złudzenie – podnoszę róg kołdry i układam ją na brzuchu, wklęsłym brzuchu, z wystającymi kośćmi miednicy.

Mojej matki już nie ma, zniknęło jej ciało, na prześcieradle leży żywe truchło, wystające kolana przypominają zwiędłe jabłka.

– Nie bój się – mówię niepotrzebnie, bo i tak mnie nie usłyszy.

Wyjmuję kaszmirowy szal i dotykam nim twarzy matki, nieruchome oczy w dalszym ciągu nie reagują. Podkładam go pod jej szyję, może poczuje, chociaż nie może się ruszyć.

– Mamo, moje życie nie było takie złe, nie jestem chory, nie przekazałaś mi swojej choroby, choć tak bardzo się tego bałem. Byłem szczęśliwy. Kocham i jestem kochany, chociaż przez całe lata myślałem, że to niemożliwe. – Wiem, że mnie nie słyszy, ale teraz chcę jej opowiedzieć o Harriet, choć to nie ma żadnego znaczenia.

– Gdybyś ją poznała, zakochałabyś się w niej tak jak ja... Jest... taka niekonwencjonalna – mówię i nagle uświadamiam sobie, że Harriet jest bardziej podobna do mojej matki, niż ja byłem kiedykolwiek. Do mojej matki z tego drugiego bieguna. – Myślałem, że to twoja wina, ale chcę ci powiedzieć, że wiem, że to nie ty... mamo – powtarzam to słowo, nieużywane przeze mnie od lat, jakbym je na nowo odkrył. – Jestem tutaj i nie zostawię ciebie. Nie bój się, tam gdzie pójdziesz, będzie tylko spokój, może będziesz szczęśliwa?

Nie wierzę w to, co mówię, nie wierzę w żaden byt po śmierci, nie wierzę w energię, która gdzieś nas przeniesie, nie wierzę w niebo, nie wierzę w piekło, nie wierzę w nic, co może być życiem po życiu. Wierzę w bezwzględność świata, w nieobliczalność zdarzeń, wierzę w liczby, kilogramy, litry – we wszystko, co można zmierzyć, zbadać, czego dotknąć.

– Ona i tak pana nie słyszy. – Pielęgniarka wsunęła się do pokoju prawie bezszelestnie. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale muszę zmienić kroplówkę.

Odsuwam się, patrzę, jak jej młode dłonie odczepiają pusty plastikowy worek, jak przełącza rurki, jak wyjmuje na kołdrę rękę mojej matki, niepodobną do ręki, i sprawdza wenflon, zgrabnym ruchem naciskając powyżej wkłucia i poniżej, tam gdzie zrobił się mały purchel.

– MUSZĘ WBIĆ SIĘ GDZIE INDZIEJ, igła wyszła z żyły – informuje mnie, jakbym był jej przełożonym i sprawdzał jej kompetencje.

Odwracam się, nie chcę patrzeć, jak będzie wchodzić w resztki ciała mojej matki.

– Bardzo kiepskie żyły – mówi pielęgniarka – ale już nas nic nie boli, prawda?

Mnie boli, boli mnie wszystko, na co patrzę, czego dotykam, a najbardziej boli mnie brak.

Ale to nie do mnie te słowa, więc milczę, słuchając usprawiedliwień pielęgniarki.

– To nie potrwa długo. – Bierze tacę, poprawia worek z płynem. – Kawa jest na pierwszym piętrze w automacie, gdyby pan chciał skorzystać...

Nie chcę kawy, nie chcę skorzystać z automatu, niewiele rzeczy chcę, ale wiem, że nie wyjdę, dopóki ona nie umrze.

Że tym razem będę jej towarzyszył.

– Dziękuję – mówię zdawkowo i nawet niewiele mnie obchodzi, co słyszała wcześniej.

Kiedy zostajemy sami, biorę matkę za rękę.

Nie rozsypuje się.

Nie mogę przywołać wcześniejszych wspomnień, nie pamiętam jej dotyku, może ona poczuje mój, trzymam ten chłodny liść, którego nie potrafię ogrzać.

– Możesz, mamo, już iść.

– Zauważyłeś, Whitman, że jak się bardzo czegoś chce, to się to dostaje?

– Nie, Harriet, nie zauważyłem.

To nie nasza chęć rządzi światem, to nie ty nim rządzisz ani ja. On sam sobą zarządza w dowolny, nieobliczalny, nierozpoznawalny sposób.

A jednak… Czuję, że jeśli tutaj będę, ona się na moment ocknie. Zobaczy mnie i rozpozna. Taki błysk świadomości, być może przedśmiertny, ale prawdziwy, zdarzy się, trzymam tę drobinę z jej ciała w swoich dłoniach i z każdą chwilą nabieram pewności, że to się stanie. Że po to przyjechałem. Nie stchórzyłem. Wystarczy czekać. Cierpliwie.

Przysuwam krzesło do łóżka.

Nie rozpoznaję ciebie, matko, w tym ciele, ale ty rozpoznasz mój dotyk, spojrzysz na mnie, odszukasz mnie wśród tej ciemności, dlatego nie umierałaś wcześniej, czekałaś, i teraz ja muszę czekać. Nie boję się.

Czy to ta ręka, którą głaskałaś mnie po policzku? Czy to ta ręka, która podcinała sobie żyły? Czy to ta ręka, którą podnosiłaś na mnie ze strachem w oczach, kiedy wydawało ci się, że jestem wrogiem?

Trzymam twoją rękę, mamo, jest miękka i bezbronna, ale ja jestem silny. Nie dam ci jej podnieść ani na siebie, ani na mnie.

Ręka służy do wyciągania w przyjaznym geście, do podania jedzenia lub picia, do pieszczoty, do pogłaskania, do zatrzymania i popchnięcia, ręka to wszechświat, którym kierujesz, i ręka to symbol, który oddajesz.

Jesteś moja, mamo.

Wiem, że się obudzisz.

Podnoszę tę rękę wyżej, trzymam ją w dłoni i schylam głowę, masz moją twarz, czuję twoje pięć palców, chłodnych i bezwładnych, kciuk na policzku, przytulasz mnie, jak nigdy mnie nie przytulałaś, jestem twój.

Przepraszam, że tak bardzo nie umiałem cię kochać.

To takie trudne kochać kogoś tak chorego jak ty.

Ale widzisz, nauczyłem się.

Zanim zaświta, odzyskasz świadomość.

Zobaczysz.

Położę głowę na łóżku, a ty dotkniesz mnie na pożegnanie.

Łagodny dotyk spływa z głowy na ramię, widzisz, myślisz, że śpię, i jednak znalazłaś dość siły, żeby próbować mnie obudzić.

Wiedziałem, że tak będzie.

Ale ten dotyk nie jest czuły, szarpiesz mnie? Po co? Ja się już nie przestraszę.

– Proszę pana…

To ja, twój syn, pamiętasz mnie, mamo?

Nie pojechałaś ze mną nigdy nad morze, ale ja mogłem z tobą pojechać potem. Czy widziałaś morze? Czy są ludzie, którzy nie widzieli morza, mimo że mieszkają na wyspie?

– *Proszę pana! Wydawało mi się, że się obudził…*

– Proszę pana, już po wszystkim…

Podnoszę głowę, w pokoju jest jasno, noc skończyła się poza moją świadomością. Pielęgniarka, inna, nie ta co wczoraj, stoi przy łóżku i szarpie mnie za ramię.

– To już koniec. Odeszła.

Mam jej rękę w swojej, ale już jest sztywna, jak woskowa. Płaska, nie daje się zgiąć. Odkładam ją obok, jak rzecz. Ręka Harriet jest inna. Nie znam się na ubraniach duszy. Nie wiem, dlaczego twardnieją, i nie wiem, kiedy wiotczeją.

– Proszę mnie zostawić samą, muszę przygotować mamę…

Nie wiem, co to znaczy „przygotować”, i nie wiem, dlaczego musi być sama, ale wychodzę.

Jest po szóstej.

Pielęgniarka wychodzi z kroplówkami, workiem z moczem i rurkami, które pewno moja matka miała w sobie.

To jest – przygotować.

Przygotować – czyli wyjąć to, co zbędne i sztuczne.

Wchodzę jeszcze na chwilę, szal złożony w mały kwadrat leży na stoliku, to, co zostało z mojej matki, leży nieruchomo, tak samo jak przedtem, ale jakoś inaczej, nie potrafię tej zmiany określić, chociaż różnica jest ogromna. Coś było – a teraz tego czegoś nie ma. Oczy ma zamknięte, coś się wygładziło, coś opustoszało.

I to wszystko.

Nic tu po mnie. I nic tu po niej. Nic po niej zostało, tylko Nic.

– NIEPRAWDA, WHITMAN. Zostało po niej coś najważniejszego, najpiękniejszego, najbardziej wartościowego…

Otwieram oczy. Lepiej się mówi o tej nocy w zakładzie z zamkniętymi oczami, ale teraz nie rozumiem, co Harriet chce powiedzieć.

Leżę z głową na jej kolanach, a ona zanurza ręce w moich włosach, od dołu wygląda zupełnie inaczej niż obok, widzę jej brodę i czubek nosa, patrzy gdzieś przed siebie, ręce ma dla mnie, dla moich włosów, uda ma dla mojej głowy.

– Nic nie zostało, naprawdę.

– Ty zostałeś – mówi cicho i pochyla się, całuje mnie, usta ma wilgotne, czuję w okolicach ucha dotyk jej wilgotnych warg, kiedy powtarza: – Ty zostałeś.

NIC PO TOBIE, HARRIET, nie zostało. Oprócz mnie. Więc tego nie zmarnuję. Nie dam tego zniszczyć.

Nie mogę nic zrobić, żeby cię ocalić, a wiem, że zrobiłbym wszystko. Pierwszy raz w życiu jestem tego tak pewny, że ogarnia mnie spokój. Wiem.

Teraz wiem.

SŁOŃCE NIE ZACHODZI już w tym miejscu co wczoraj, lekko się wycofuje w stronę północy, poznaję to po tańczących cieniach brzóz, które jeszcze tydzień temu zaczepiały o kąt biblioteki, chwiały się na grzbietach Picassa, Hokusaia, Brunelleschiego, a dzisiaj o tej samej porze Mantegni, Breughla i Toulouse-Lautreca.

Za parę dni, kiedy mnie już tu nie będzie, przejdą na Klimta, Rubensa, Turnera i Constable'a. Chyba że w nocy przyjdzie mróz i zeszkli liście na drzewach, a potem mocny wiatr z charakterystycznym, niepokojącym, kryształowym dźwiękiem osypie je w ciągu paru minut na zmęczoną tegorocznymi upałami ziemię.

Wtedy słońce bez przeszkód oświetli Giotta, Velázqueza i Friedricha. Otwarcie wniknie w poszarpane okładki, może wydobędzie ślady kurzu, ja nie sprzątam między książkami, nie odkurzam książek, ostatni raz to ona je układała. Kiedy to było? Nie wiem…

Pamiętam, że moja matka każdą po kolei wyjmowała z półek, jedną po drugiej kładła na kupkę, kolejność taka sama jak na półce, koniecznie niezmieniona, były poziomo, teraz pionowo, ale Klimt za Rubensem, potem Turner i Constable. Nie odwrotnie, w porządku identycznym, żeby można było odtworzyć poprzedni świat, taki sam, tyle że czysty i odkurzony już.

Tak było kiedyś. Dawno temu.

Teraz prawdopodobnie kurz gromadził się z tyłu, grzbiety książek równały się z frontem półek, więc czas osiadał z tyłu, w przerwie między rzędami ułożonych książek a ścianą, na tej powierzchni, której nikt nie widział, nie sprawdzał, nie sprzątał.

Trochę przypominałem przestrzeń między półkami – niby nic się nie zmieniało, wszystko trwało nienaruszone, ale drobne cząsteczki upływających dni zostawiały ślad.

Niby niewidoczny.

Jakby go nie było.

A był.

Co teraz mam z tym zrobić? Przewieźć do siebie? Jak likwiduje się mieszkanie po zmarłym?

HARRIET POWOLI WYJMOWAŁA PŁYTY, jedną po drugiej, i starannie wycierała kurz, ustawiała je w takim samym porządku, wycierała półkę do końca, dokładnie, a ja czułem coraz większą irytację. Była przy trzeciej od góry, kiedy spojrzała na mnie i zapytała jak gdyby nigdy nic:

– Whitman, pomożesz?

Postanowiłem jej nie odpowiadać.

Przyglądała mi się jak królikowi doświadczalnemu. Wiedziała, że jestem zły, i była wyłącznie ciekawa, jak zareaguję. Czułem to. Więc postanowiłem nie reagować. Nie dawać jej tej satysfakcji.

Przenosiła kolejne rzeczy z mojej półki i przecierała je szmatką. Wcale nie chciałem, żeby ścierała kurze, zawsze mnie to drażniło.

A teraz byłem po prostu zły.

Skoro chce, to bardzo proszę.

Nie wyglądała, jakby chciała mi coś udowodnić. Patrzyłem na nią spod oka. Ona na mnie też.

– Pamiętaj, Whitman, że każde twoje niewypowiedziane uczucie – złość albo pogarda, albo gniew, które odkładasz na później, a później nie następuje, zaczyna gnić.

Milczałem.

– Jeśli byłbyś lodówką, to musiałbyś się za sześć miesięcy wyrzucić, a przedtem szorować płynem do mycia kibli, a jeszcze przedtem nasypać sto kilogramów kawy, żeby smród wywietrzał. – Machała ściereczką, a ja osłupiałem.

– Dlaczego kawy?

– Bo kawa likwiduje wstrętne zapachy. A tam byłby smród po prostu. Jeden wielki smród.

– Nie słyszałem, żeby ktokolwiek chował do lodówki niewypowiedziane cokolwiek.

– To tylko przenośnia, ty jesteś taką lodówką i sobie robisz krzywdę, chowasz coś po kątach, zamiast posprzątać i wkładać w siebie tylko dobre rzeczy.

Jeśli chciała jakoś zmienić temat, to jej się zdecydowanie udawało. Ale nie byłem w nastroju do zabawy.

– To co, twoim zdaniem, mam do siebie wkładać?

– Fotografię zwierzęcia. Film przyrodniczy. Albo inny. Jesteś tym, czym się karmisz. Wybieraj ładne rzeczy. Czy nie dlatego ludzie wymyślili muzea? Dlatego chcą mieć ładne rzeczy w domu. Dlatego wzruszają się kolorem nieba. O zachodzie. – Kolejne płyty wędrują na półkę niżej, przetarcie, wracają na miejsce.

– Ja się nie wzruszam.

– Bo ty tego jeszcze nie umiesz.

– Nie jest mi to do niczego potrzebne.

– Jeszcze nawet nie wiesz, że jest ci to potrzebne.

I wtedy dopiero nie wytrzymałem.

– Jak ty tak dobrze wiesz, co mi jest potrzebne, to czemu, do cholery, robisz mi na złość! – wrzasnąłem tak, że aż sam się tym zdziwiłem.

Zamarła z tą głupią ścierką.

Ale ja już nie chciałem się powstrzymywać.

– Mam dosyć ciebie i twojego pouczania! Nie mogę już tego znieść! Zostaw w spokoju moje rzeczy! – Nienawidziłem siebie za to, co mi się wyrwało, ale było silniejsze ode mnie. A najgorsze było to, że krzyczałem do matki, nie do niej, ale o tym obie nie mogły wiedzieć.

I skończył się temat lodówek, wkładania fotografii, stu kilogramów kawy, bo rzuciła ścierką o podłogę z taką siłą, że ta powinna wylądować u sąsiadów, i wybiegła do łazienki.

Byłem teraz wściekły nie tylko na nią, ale również na siebie.

I nie wiedziałem, co robić.

Gdybym był nią, wyszedłbym i nigdy nie wrócił.

Nie chciałem, żeby wyszła i nigdy nie wróciła.

Siedziałem jak sparaliżowany i czekałem na wyrok.

Nie wychodziła z łazienki.

A potem podniosłem szmatkę i odłożyłem na miejsce. Następnie podszedłem do drzwi łazienki i zapukałem.

Nasłuchiwałem.

Cisza.

Zapukałem raz jeszcze.

Otworzyła drzwi, chyba płakała.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Ona odezwała się pierwsza.

– Możesz mi powiedzieć, czego masz dosyć, mnie czy mojego zachowania?

– Ciebie nie – wykrztusiłem, zanim zatrzasnęła mi z powrotem drzwi przed nosem.

Nie wiedziałem, co teraz.

Siadłem w fotelu i czułem, jak się zapadam.

Jeśli wyjdzie, co mam zrobić?

Jak mam ją przeprosić?

– Przepraszam cię – usłyszałem zza pleców.

Stała w progu pokoju, jakaś taka niepewna, zgaszona.

– Harriet, ja tylko chciałem powiedzieć…

– Wstrętnie się zachowałam. Czułam, że jesteś zły, i specjalnie cię prowokowałam, przepraszam.

Coś się we mnie zatrzęsło.

– Jak to wiedziałaś, że jestem zły?

– Nie wiedziałam, o co chodzi. A ty nie chcesz mówić.

– Jak to nie wiedziałaś! Przecież mieliśmy na dziewiętnastą być u twoich przyjaciół, u Jane i Toma! A ty mi chciałaś udowodnić akurat wtedy, kiedy trzeba było szykować się do wyjścia…

Teraz bym ci powiedział, że krzyczałem do matki, żeby nie ruszała moich rzeczy.

– Dzisiaj? Przecież zapraszali na niedzielę…

– Dzisiaj jest niedziela, Harriet! Wczoraj była sobota, a jutro będzie poniedziałek! Taka jest kolejność dni w tygodniu!

– Ale ja myślałam, że dzisiaj jest sobota… – Patrzyła na mnie z szeroko otwartymi oczyma, jak niesłusznie skarcone dziecko. – Dlaczego nie powiedziałeś, o co chodzi?

– Nie wpadło mi do głowy, że zgubisz jeden dzień… Więc jak zapytałaś, czy możesz zająć się ważnymi sprawami, takimi jak ścieranie kurzu, to szlag mnie trafił. Myślałem, że robisz mi na złość, specjalnie…

Teraz bym miał odwagę, ale i tak czułem się jak idiota.

Harriet wyciągnęła do mnie rękę. Chwyciłem jej dłoń, była zimna jak lód.

– Nie rób tak więcej, Whitman. Daj mi margines na zapominanie albo przeoczenie, albo niedopilnowanie… Nie jestem idealna… A ja ciebie naprawdę przepraszam. I nie popadaj teraz w poczucie winy; dopóki pamiętasz, że mnie kochasz, to wszystko jest OK…

Spojrzałem na zegarek. Była osiemnasta trzydzieści dwie.

– Zdążysz się przebrać w pięć minut?

– Jeśli będziesz jechał wolno, to mogę się pomalować w samochodzie. – Zerwała się i pobiegła w stronę sypialni. I już stamtąd dobiegły mnie jej słowa: – Dobrze, że nie jesteś lodówką, Whitman…

DZISIAJ MA DLA MNIE kolor zepsutego mleka i naturalnego lnu, z małymi plamami czerni. Nie jest ani jasno, ani ciemno. Jest gęsta, lepka szarość…

– JAKIEGO KOLORU są dla ciebie dni?

– Dni nie mają kolorów.

– No co ty – żachnęła się. – Po prostu ich jeszcze nie zobaczyłeś.

– Dni nie mają kolorów – powtórzyłem twardo.

– Ależ mają. Nie przejmuj się, nikt cię po prostu o to nie zapytał. Kiedyś je zobaczysz, jak się zastanowisz. – A po chwili milczenia dodała: – Są ludzie, którzy widzą dźwięki kolorami, zazdroszczę im – westchnęła. – Ja tego nie widzę. Taki Liszt na przykład. Albo Nabokov.

– Nie opowiadaj bzdur, Harriet. – Czasem odpływała gdzieś, aż zaczynałem się bać, że za daleko, za mocno, za inaczej.

– Naprawdę. Oni byli synestetykami. Mieli zdolność równoczesnego postrzegania, jakby się im coś w mózgu łączyło niespodziewanie. Rimski-Korsakow C-dur odbierał jako biały, D-dur był słoneczny, Es-dur błękitnoszary, E-dur szafirowy, F-dur zielony i tak dalej. To musi być nieprawdopodobnie ekscytujące, wyobrażasz sobie? Słuchasz muzyki i jesteś jednocześnie otulany tęczą z tysiąca kolorów.

– Nie ma tysiąca kolorów, Harriet.

– Oczywiście, że są tysiące kolorów. Nie wszystkie może są nazwane, ale są. Przyjrzyj się czasem, to zobaczysz.

– Przyjrzę się czasem, ale nie sądzę, żebym zobaczył.

Siedziała pochylona nad szarawym kartonem, obok ułożyła z ołówków i kolorowych pisaków stos, czy wieżę wartowniczą, jak dziecko, które się nudzi i zamiast rysować, kładzie ołówki obok, a na nich następne, a potem następne, warstwa po warstwie. Ta chwiejna budowla koło niej nie świadczyła o pracy, a przecież powiedziała, że pracuje.

– Ja tylko ból czuję kolorami – westchnęła.

– Harriet, proszę cię…

– Kiedy zatruliśmy się w zeszłym miesiącu tym czymś, pamiętasz, to mnie bolał brzuch na pomarańczowo, z ostrymi cierniami kaktusa w środku. Potem zmienił barwę na beżową, nieprzyjemną… Mówiłam ci…

– Ale to przenośnia, Harriet.

– Nie wiem, ale jeśli niewidzący kolorów mówi: idę posłuchać Picassa, albo: na pogrzeb ubiorę się w tonacji B-dur, w turkus i fiolet, to przecież jest wyjątkowy. I świat dla niego jest wyjątkowy. Potwornie im zazdroszczę… Wyobrażasz sobie? Na przykład seks odbierany wszystkimi zmysłami? Czujesz, słyszysz, widzisz kolory? Dotykasz i twój mózg kojarzy dotyk z materiałem, zapachem, widokiem, muzyką?

Wyciągnęła ołówek ze środka swojej wieży i cała misterna konstrukcja runęła, ołówki posypały się na blat i na podłogę, zsunęła się ze stołka i uklękła w poszukiwaniu tych, które odturlały się prawie pod kuchenkę.

Patrzyłem na nią, pochyloną, na kolanach, nie wiem, jaki miała kolor, jaki dźwięk, ale jej skóra była aksamitna, z wyjątkiem jednego podłużnego znamienia na łopatce, które było szorstkie, ale było jej, więc wszystko jedno, jakie było i czy ją szpeciło, czy dodawało urody. Pachniała jak Harriet, nikt inny nie miał takiego zapachu, i to wydawało mi się w porządku, nie chciałbym mieć synestezji, nie chciałbym, żeby pachniała wanilią albo pomarańczami, albo stekiem.

Pozbierała ołówki i ponownie usiadła.

– DZISIEJSZY DZIEŃ jest dla mnie jakiś taki niewyraźny, szarawy. Mleczny. Chyba pojadę do pracowni… nic mi się nie układa… Przyjedziesz po mnie wieczorem? Teraz wezmę taksówkę…

– Mogę cię odwieźć, daj mi pół godziny… – Kończyłem raport i dosłownie miałem roboty na pół godziny, góra czterdzieści minut.

– Nie, nie, nie spiesz się, nie przerywaj i zjedz coś.

– A ty?

– Muszę inaczej o tym pomyśleć… – odpowiedziała, i wiedziałem, że jest już daleko ode mnie.

BO WTEDY NIE WIEDZIAŁEM JESZCZE, co znaczy daleko…

Teraz, kiedy stanęliśmy przed ostateczną granicą, kiedy rozdziela nas ciemność, kiedy jesteśmy po dwóch stronach życia i nie mogę cię dosięgnąć, oddalasz się, znikasz… To jest prawdziwe rozdzielenie, odległość, której nie umiem pokonać. Ciągle ufam swojej pamięci – że przyprowadzi cię do mnie, że cię ocali, że to składanie odprysków naszego życia ma sens.

– CO ZA BZDURY, WHITMAN! Właśnie o to chodzi, żebyś nie wybierał niczego, nie wybierał NIC – a wybierał COŚ! Zawsze COŚ! Jeśli wybierzesz NIC – to tak jakbyś mnie nie kochał, jakbyś nie chciał, bez żadnego wysiłku, bez podjęcia decyzji, jakbyś nie chciał, żeby cokolwiek od ciebie zależało!

– Niewiele zależy ode mnie, jest przecież gdzieś jeszcze jakiś Bóg – powiedziałem nieostrożnie i natychmiast dodałem: – Według ciebie.

Stanęła, jakby nagle ktoś ją oblał ciekłym azotem.

– To pierwsze mądre zdanie, które dzisiaj powiedziałeś – uznała. A potem jej wskazujący palec przeszył powietrze między nami i ukłuł mnie prosto w serce. – Więc zapamiętaj to, co ci powiedziałam: rzeczy niezależne od ciebie nie są zależne od ciebie, tylko od Boga, cała reszta zależy od ciebie. Ta reszta to jesteś ty i twoje wybory, to jestem ja, to jest to wszystko. – Palec wyszedł z mojej piersi i zatoczył krąg po pokoju, a w jej oczach widziałem burzę i starałem się zrozumieć ten nagły gniew. – Jeśli, Whitman, chcesz, żeby było gładko, miło bez twojego udziału, żeby tylko twoje chęci, które pojawią się lub nie, tobą rządziły, jeśli nie podejmujesz żadnego trudu, żeby cokolwiek zrozumieć…

– …jesteś głupcem – dokończyłem za nią zdanie. – No i dobrze.

– Jesteś głupcem! – krzyknęła i odwróciła się na pięcie. – Bo wybierasz bycie głupcem w tej chwili.

Trzasnęły drzwi do łazienki i usłyszałem prysznic.

Od razu. Jakby w ubraniu tam weszła.

Albo puściła wodę, żebym nie słyszał jej płaczu. Tak mogło być.

– DZIEWCZYNKI, kiedy płaczą, to najpierw uciekają do matki. Niektóre są przytulane i głaskane. – Siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami i mówiła bardziej do siebie niż do mnie. – Mówi się do nich: nie płacz, kochanie. Potem mówi się do nich: nie płacz. Potem mówi się do kogoś obok: niech ona przestanie płakać.

Potem krzyczy się na nie: przestań histeryzować. Potem słyszą: to głupie, to nieważne, to nie jest warte twojego płaczu, weź się w garść, to nie boli, to nie jest smutne… I smutnieją wtedy, bo okazuje się, że to, co bolało, nie miało prawa boleć, to, co było smutne dla nich, było wesołe dla innych, więc mogą przestać odróżniać, co boli, a co nie boli. Wiedziałeś o tym?

– Nie – odpowiedziałem zdawkowo, bo bardziej słuchałem jej głosu niż znaczenia wypowiadanych słów. Ale chciałem, żeby mówiła dalej. Nikt ze mną nigdy nie rozmawiał o takich rzeczach. – I co?

– Muszą się nauczyć wszystkiego od początku. Płakać na przykład. Ale wtedy już się chowają. Nie przychodzą ufnie do nikogo. Płaczą z bezsilności, bo przecież nie dlatego, że smutno, nie dlatego, że boli. Najlepsza jest łazienka. Jeśli są jeszcze małe, wtedy puszczają wodę głośnym strumieniem i płaczą w tej wodzie, nikt nie wie, nikt nie usłyszy, nikt ich nie wyśmieje. Płakałeś tak kiedyś, Whitman?

– Ja?

Jej lekkie przeskakiwanie na mnie było niespodziewane i nieprzyjemne.

– Ty.

– Nie przypominam sobie.

– Kiedy płakałeś ostatni raz?

– Nie pamiętam pierwszego, a ty mi każesz pamiętać ostatni? – Przyciągnąłem ją do siebie, położyła mi głowę na brzuchu i dla mnie to był koniec rozmowy.

Dla mnie, ale nie dla niej oczywiście.

– No więc kiedy?

– Kiedy co? – Głaskałem jej ciemne włosy, rozsypywały mi się pod palcami jak cienkie jedwabne nici.

– Whitman, czemu ty bez przerwy uciekasz? Ja nie zrobię ci żadnej krzywdy. Jeśli o coś pytam, to dlatego, że chcę cię poznać.

Nie pamiętałem, kiedy płakałem w ogóle. Nie byłem z tych, co płaczą. Nie płakałem jako dziecko i nie płakałem jako mężczyzna.

– Nie płakałem, naprawdę.

– To niemożliwe – powiedziała spokojnie. – To akurat jest niemożliwe.

– Na pewno jak byłem dzieckiem. Jak każde dziecko. To wszystko.

– Nie masz żadnego wspomnienia związanego z płaczem?

– Nie. – Przesuwałem ręką po jej włosach i nagle przeszyło mnie wspomnienie bólu.

Bólu na twarzy. Od mocnego uderzenia w twarz. Matki ręka na moim policzku. Zamarłem, bo wspomnienie było tak silne, że poczułem pieczenie teraz, na swojej dorosłej twarzy.

I Harriet też to poczuła, bo podniosła głowę i popatrzyła na mnie.

– Więc pamiętasz... Ale nie chcesz o tym mówić?

Była poważna, zabawa we wspominanie się skończyła, nie chciała mnie dręczyć, jej głos się zmienił.

Zamknąłem oczy.

– Whitman, jeśli powiesz, będziesz mógł się z tym pożegnać...

Odsunąłem ją od siebie, wstałem i nalałem sobie whisky.

– Nalej też dla mnie, bez lodu, odrobinę.

Wyjąłem drugą szklankę, ale chciałem, żeby ta szklanka zniknęła, żeby ona zniknęła, chciałem zostać sam, na chwilę sam, chociaż kochałem ją przecież.

Nie chciałem żadnych pytań, żadnych opowieści, żadnych głupich zwierzeń, żadnego powrotu do tego, co było, żadnych pożegnań ani powitań, chciałem tylko wypić jedną niewielką whisky, w samotności, ale nalałem również do drugiej szklanki i musiałem przecież podać jej tego drinka, więc musiałem podejść do kanapy i postawić przed nią, i nie miałem się gdzie ukryć.

Siadłem ze swoją szklanką w fotelu naprzeciwko, najdalej, i zacząłem sączyć, a Harriet milczała.

Wiedziałem, że chce, żebym mówił, wiedziałem, że jest rozczarowana, że nie wróciłem na miejsce obok niej, ale coś się stało między nami i nie wiedziałem co. Patrzyłem na szkło i na swoją dłoń, zniekształconą przez grube dno, wyglądała jak ręka drwala, grube paluchy; dopiero kiedy dopiłem do końca, odważyłem się na nią spojrzeć.

Siedziała skulona, obejmując szklankę dłońmi, przytulała ją do siebie, a potem cicho powiedziała:

– Przepraszam, Whitman...

I cios mojej matki dosięgnął mnie powtórnie.

Podniosłem szklankę do policzka, była zimna od lodu, ale nie ukoiła tamtego bólu.

A ja nie wiedziałem, za co mnie Harriet przeprasza.

Ona wiedziała.

Podniosłem się i postawiłem butelkę na stole.

– Chcesz jeszcze?

– Tak, odrobinę. – Podała mi szklankę nad stolikiem, nachyliłem butelkę i nalałem prawie do pełna. I swoją napełniłem również. A potem zdecydowałem się, bo mi już było wszystko jedno, miałem jednej i drugiej dość, tej, która siedziała przede mną, i tej, która wychodziła z pokoju hotelowego – mojej matki. Wszystkich miałem dość, a najbardziej tych dwóch.

Skoro Harriet chce za wszelką cenę wiedzieć, niech wie, niech potem wyjdzie również, niech mnie zostawi samego, nie obchodziło mnie to w ogóle, nawet powiedziałbym, że nie miałem z tym nic wspólnego.

– Chcesz wiedzieć? No to ci powiem – usłyszałem swój głos, odpychał nawet mnie ode mnie, ostry, spokojny, gwałcący powietrze. – Owszem. Płakałem. Raz. Ryczałem zasmarkany, bo oni wychodzili, a ja

wiedziałem, że zostaję sam. Moi rodzice, kochani, dobrzy, troskliwi. Ojciec nas wziął do Londynu na szkolenie. Dwa tygodnie w luksusowym hotelu, basen, zabawa, zostawałem z matką cały dzień, ale wieczór był ich. Więc wychodzili. Zamykali pokój hotelowy i szli w tango. Zamykali pokój 224 na drugim piętrze, a mnie razem z tym pokojem zamykali. A ja, jak na małego zasrańca przystało, bałem się zostać sam. Byli wspaniali, długo mi tłumaczyli, że pokój zamknięty, nikt nie wejdzie, ja mam nie wychodzić z łóżka, na stoliku było włączone światło i butelka wody, gdyby chciało mi się pić. Ale darłem się wniebogłosy, jak tylko pocałowali mnie grzecznie w czółko i zbliżyli się do drzwi. Zwijałem się z płaczu, myślałem, że nigdy nie wrócą, że umrę w tym pokoju, zamknięty i zapomniany przez wszystkich, że coś im się stanie, spadnie winda, którą zjeżdżają na dół, a mnie nikt nigdy nie znajdzie. Że do lobby hotelowego, gdzie najpierw będą pić, wpadnie bandyta i zacznie strzelać, a mnie nikt nigdy w tym pokoju nie znajdzie. Że w sali balowej, do której pójdą potem, zarwie się sufit i spadnie na nich, i już ich nigdy nie zobaczę. A pokój hotelowy pozostanie zamknięty i nikt nigdy po mnie nie przyjdzie. A jeśli wyjdą na spacer, to wpadną pod samochód i nikt się nie dowie, że ja jestem w tym pokoju hotelowym, zapłaconym przez firmę ojca na dwa tygodnie z góry. Więc płakałem i krzyczałem, a wtedy matka podeszła do mnie… i uderzyła mnie w twarz. Mocno. Zdecydowanie. Żeby powstrzymać histerię. Tak mocno, że przestałem płakać. I wyszli. To wszystko. Nie pamiętałem o tym i to prawdopodobnie było najlepsze, co mogli zrobić, żeby mnie uspokoić. I być może ja bym zrobił to samo, gdybym miał syna. Matka pokazała mi, że nie warto ryczeć, i nauczyłem się, że można sobie radzić bez płaczu. To wszystko.

Zalała mnie złość.

Spojrzałem dopiero teraz na Harriet, skuliła się jeszcze bardziej.

Milczała.

No ale sama tego chciała.

Wypiłem do dna i nalałem sobie jeszcze jedną porcję.

Nie lubiła, kiedy za dużo piłem, ale było mi wszystko jedno, co pomyśli, i czy będzie zadowolona, czy nie.

I wypiłem.

A Harriet podniosła się i podeszła do mnie. W jej oczach nie widziałem wyrzutu ani pretensji, ale nie chciałem od niej niczego. Niepotrzebnie się podnosiła.

Dotknęła mojej twarzy i objęła dłonią od tyłu moją głowę. I tak stała, a ja tak siedziałem, z ręką na tym rozpalonym od wspomnienia policzku, a potem strząsnąłem jej dłoń, bo mi przeszkadzała i nie chciałem, żeby ktokolwiek, którakolwiek z nich dotykała mojej twarzy.

I zamknęły się za nią drzwi do sypialni, a ja tej nocy do niej nie poszedłem.

Kiedy obudziłem się rano na kanapie, miałem poduszkę pod głową i koc na sobie. Który przyniosła i którym musiała mnie okryć w nocy, wieczorem, nad ranem, nie pamiętam kiedy i o której, ale koce trzymam w szafie w sypialni, na wszelki wypadek, na wypadek, którego nigdy wcześniej nie było.

Bo w każdym mieszkaniu potrzebny jest jakiś dodatkowy koc. Którego nie używasz.

A który może być użyty w specjalnych okolicznościach.

Jak ten.

PODESZŁA DO MNIE z książką pod pachą, a potem nachyliła się nade mną i przytuliła jedną ręką moją głowę do swojej piersi. Odsunąłem się, zasłaniała mi ekran, choć prawdę powiedziawszy, nic tam ciekawego nie było, przerzucałem wiadomości.

Siadła na kanapie, tak jak lubiła, podwinęła nogi pod siebie, wodę z pomarańczą – gorącą wodę z pomarańczą pokrojoną w drobne kostki i dużym liściem mięty – postawiła na skraju stolika. Spadnie przy nieostrożnym ruchu.

I mój kursor przesuwał się po ekranie, a ona zatopiła się w białych kartkach. Potem sięgnęła po szklankę. Chociaż się nie przyglądałem, siłą rzeczy widziałem kątem oka, że omal jej nie strąciła na podłogę. Upiła odrobinę, nie znam nikogo, kto parzy pomarańcze, w dodatku z miętą. Ani to dobre, ani orzeźwiające.

– Wydzielasz mi siebie, Whitman, jakbyś się bał, że ciebie ubędzie…

A więc jednak. Wróci do tego. Przecież nie odepchnąłem jej, uchyliłem się tylko; jest czas na czułostki i jest czas na bycie samemu.

– Nie chcę ci się znudzić…

– Nie znudzisz mi się nigdy, Whitman. – Jej głos był tak pewny, jak ja nigdy nie byłem. I wróciła do czytania, jakby tylko rzucała harpunem i nie obchodziło jej to, w co właśnie trafiła.

– Nie wiesz tego – odpowiedziałem, choć nie było pytania.

– Akurat to wiem.

– Nikt nie wie, co się zdarzy – upierałem się, choć właściwie nie miałem ochoty na roztrząsanie jakiegokolwiek tematu. A ona chciała czytać. Co zapowiedziała przed chwilą, ale już unieważniła.

– Ja wiem, bo tak postanowiłam.

– Chcesz mi powiedzieć, że twoja nuda ma związek z tym, co postanawiasz? Oglądasz jakieś nudne bzdury i nagle podejmujesz decyzję, że to superciekawy program, tak?

– Nie jesteś nudną bzdurą, Whitman.

– Nie o tym mówiłem. – Harriet potrafiła wyprowadzać mnie z równowagi jak nikt inny.

– Naprawdę? – Podniosła wysoko brwi, jakby musiała nawet temu udawanemu zdziwieniu nadać kpiący kształt. – To o czym rozmawiamy? O tobie czy o filmach?

– Czerpiesz jakąś niezwykłą satysfakcję z walczenia ze mną o każde słowo.

Zrzuciła książkę z kolan, książka upadła na dywan, schyliła się, odłożyła ją na stolik, grzbietem do góry, tak jak się nie robi z książkami, niszczą się, a jeśli nie są szyte, kartki odklejają się od grzbietu. I po co zacząłem tę dyskusję?

– Myślę teraz, że masz rację. Postanowiłam, że będę o ciebie walczyć, Whitman, dopóki nie zobaczysz, że ty nie musisz walczyć ze mną, tylko o mnie. A to jest zasadnicza różnica. I widzę, że kiedy tylko usłyszysz ode mnie coś, z czym nie możesz sobie poradzić, natychmiast wekslujesz to na inny temat. Nie chodziło ci przecież o durne programy, prawda? Jesteś niepewny, bo możesz mi się znudzić? Czy boisz się, że ja ci się znudzę? Nie jesteś bzdurą, Whitman. Dla mnie jesteś najważniejszy. I będę o tym pamiętać, nawet jak mnie wkurwisz. A jeśli się boisz tego, że ja ci się znudzę? Na to nie mam wpływu, a nie zamierzam się zajmować rzeczami, na które nie mam wpływu. Chcesz gadać czy mogę czytać?

Nie mogłem rozeznać się w sytuacji. Czy ona to wszystko mówi serio, czy właśnie chce rozmawiać i czegoś ode mnie chce, czy tylko zaczepiła mnie i zostawia w spokoju.

– Czytaj już – powiedziałem więc, a ona wzięła książkę ze stolika i położyła ją sobie na kolanach.

I naprawdę już jej nie obchodziłem.

Choć byłem najważniejszy.

Jesteś dla mnie najważniejszy, Whitman.

I czy ja ją naprawdę wkurwiam?

Harriet bardzo rzadko używała takich słów.

– Czy teraz cię wkurwiam? – postanowiłem wyjaśnić sprawę do końca.

– Nie, kochany, teraz mi tylko przeszkadzasz czytać – odpowiedziała, nie podnosząc oczu.

TERAZ JUŻ WIEM, że ten szum to morze. Nie może być nic innego, tylko poszept fal jest taki.

Morze było na pozór spokojne, ciągnęło się od prawej do lewej w niezakrzywionej linii, jak okiem sięgnąć, granatowe, z jaśniejszymi łachami modroszmaragdowego, tam gdzie na dnie czaił się piasek i zwodniczy ślad płycizny. Drobne białe grzywki pojawiały się w paru miejscach i znikały natychmiast, szumiało jednostajnie, próbując wdrapywać się na skały, ostre, wulkaniczne i spękane od wieków. A potem rezygnowały, tuż przy brzegu, wślizgiwały się trochę wyżej, mocząc kamienie, i cofały, jakby sam fakt, że zostawiają mokry ślad, im wystarczał.

Jednostajne, miarowe skurcze wody uspokajały, bijące serce morza nie zamierało nigdy, poszum niósł się daleko, zapraszająco.

Nie dawałem się nabrać, wiedziałem, że jeśli wypłynę, z lekkością i bez wysiłku, w zapraszające morze – już nie wrócę.

Tamaryszki rosnące w odległości jakichś stu metrów od brzegu miały pożółkłe igły.

Arundo donax, kwitnące trawy, tworzyły niedostępne wysepki na suchej ziemi, dwie araukarie rosnące odwrotnie, wyglądające jak postawiona na głowie rzadka choinka, wspinały się w niebo od wschodniej strony. Dywany roślin, szarawozielonych, kolczastych, żyły własnym życiem – coś trzeszczy, coś się rusza, malutkie jaszczurki pojawiają się i znikają, cykady, brzydkie stworzenia z rodziny pluskwiaków, które koncertują w największe upały, trąc odwłokiem o dłuższe niż tułów skrzydła, czasem wzlatują w powietrze z nieprzyjemnym chrzęstem, żeby znowu opaść w zieloność i kończyć granie.

Potem, kiedyś, mieliśmy żyć długo i szczęśliwie. Odbierało nam dech, kiedy dotykaliśmy siebie wzajemnie w pierwszych nieśmiałych, ale już świadomych spotkaniach naszych rąk, bez żadnego zastanawiania się nad tym dlaczego, po co, na jak długo, bo wiadomo było, że to tylko na chwilę, na tę chwilę, do której drzwi otworzyło pożądanie i bezpieczeństwo – więc wszystko można bez wstydu, bez zastanawiania się, czy należy, wolno, jak to będzie odebrane, czy wypada chcieć kogoś tak bez ograniczeń.

Może też trochę pomógł klimat, gorący, pachnący ziołami i słoną wodą, upalne lato na Krecie miało się ku schyłkowi, ale wieczory były gorące, a wino przyjemnie chłodziło rozgrzane zmysły.

Trwałem całe życie w błędnym przekonaniu, że wszystko zaczyna się od początku, a tymczasem wszystko zdecydowanie zaczyna się od końca, od ostateczności do pierwszych zdarzeń pozornie nieistotnych. Po prostu wszystko toczy się w przeciwnym kierunku, niż myślisz.

Zapachy są istotne. Czuję teraz znowu ten słonawy powiew Morza Śródziemnego zmieszanego z nagrzanymi skałami, taki trochę jak od pieca przygotowanego do pieczenia jagnięciny, i może ze słabą nutą rozmarynu, którego duże krzaki, dzisiaj szarpane wiatrem, prawie wchodzą na taras.

Otworzyłaś pudełko z humusem, rozkroiłem dwie dojrzałe figi, nóż przeszedł gładko, nie zniekształcając idealnej skórki, łódeczki fig ułożyłaś wokół kupki humusu – wyglądały apetycznie, oblizałem łyżkę, wyraźnie wyczułem ten dziwny smak, może nawet mocny, ale nie pamiętam, jakie to było zioło, jaka przyprawa, którą dodałaś.

Figi odsłaniają swoje wnętrzności, jakby były na stole operacyjnym, bezradne i bezbronne wobec noża i mnie. Za chwilę ich nie będzie, to ostatni moment, kiedy ukazują delikatne wnętrze i tym samym skazują się na śmierć. Czarna skórka jest gruba i mięsista, smaczna, słodsza niż winogrona i arbuzy.

Pierwszy raz wystawione na świat, może czują ciepło promieni słonecznych, niechronione pesteczki rozkładają się wygodnie i chłoną nieznane, bez świadomości utraty bezpieczeństwa.

Więc ja też tak będę.

Przestanę się bać, przyjdzie taki moment, wiem o tym.

Będę jak pestki figi ułożone w ciepłym miąższu, obnażone po raz pierwszy, wyjęte z doskonale znanego, po to żeby spotkać się z nieznanym.

Ciasne skorupy, które osłaniały, wydawało mi się, cały świat, okażą się kruchym i nieważnym zabezpieczeniem przed najważniejszym.

JAK DOBRZE JEST TERAZ… Nic nie boli…

Siedzę w cieniu sześciu tamaryszków, zgrubiałe pnie są inne niż u znanych mi drzew, pęknięcia idą w górę, rosną razem z rozłożystymi gałęziami, mimo braku liści tamaryszki dają ochronę przed słońcem, jest popołudnie, samotne cykady zaczynają zachęcać się wzajemnie do hałasowania, zaczęło się od jednej, która się pospieszyła z graniem, i już odzywają się następne – ja tu jestem, a ja tu.

Ja też tu jestem. Jeszcze jestem. Siedzę nieporuszony, morze wzburzyło się, tłucze teraz o brzeg z większą mocą, jakby cykady, których jest coraz więcej, dały znak, że można. Słychać tylko to – owady i wodę. Zamglony horyzont jest daleko, cienka warstwa rozproszonych białych cumulusów nieruchomo wisi w oddali.

Wypłynęłaś daleko, ale już się nie boję o ciebie. Tak pięknie pływasz.

Przy skałach widzę maleńką blondyneczkę z amarantową siatką na motyle, moczy ją uparcie w morzu, wyciąga pustą, ale nie rezygnuje z polowania – na co? Ryby na pewno ukryły się głębiej, fale rozbijają się o skałki, na których ona stoi, zapierając się mocno plecami o większą, żeby nieostrożnym ruchem nie sprowokować losu. Kostiumik ma mizerny, ale dwuczęściowy, tam gdzie kiedyś będą piersi, na razie kawałek materiału udaje stanik i zapewnia, że będzie kobietą. Ma może pięć, a może sześć lat, jest niezmordowana w poszukiwaniu – ale czego? Pusta amarantowa siatka wygina się na wietrze, łapie powiew, wydyma się jak wiatrołapy, drogowskazy dla kierowców, z której strony wieje wiatr.

Dziewczynka pojawiła się znikąd, na nóżkach ma różowe buciki, przezroczyste, do pływania, nie porani sobie stóp, przechodzi ostrożnie na sąsiednią skałkę z wdziękiem młodziutkiej kozicy, ale dużo ostrożniej. Kto pozwolił dziecku na tak bliskie towarzystwo morza? Przy brzegu od razu jest głęboko, wulkaniczne skały schodzą w dół czarnymi ostrogami, kalecząc szafirową wodę.

Można żyć za cenę nieobecności?

Jak mogę się zgodzić na tak wielką nieobecność?

Nie widziałem wtedy tych drzew, nie słyszałem tych cykad, wszystko było tłem dla ciebie.

– POJEDZIEMY TAM KIEDYŚ? – Harriet skończyła czytać jakieś wspomnienia, kogoś, kto spędził rok na Bali, i właściwie z tej mojej kanapy już się tam przeniosła.

– Harriet, życie to nie same przyjemności!

– Whitman, życie to sama przyjemność! Przecież możemy to zaplanować, kupić teraz bilety i cieszyć się, że już za parę miesięcy, za parę tygodni… Przedłużamy sobie tę radość…

– Nic nam nie ucieknie, Harriet. Ty chcesz wszystko od razu… a to tak nie działa.

– A mam chcieć wszystkiego na raty? Zrobić grafik, kiedy wypada czegoś chcieć?

– Nie chodzi o to, tylko ty ledwo coś przeczytasz albo czegoś dotkniesz, to już musisz to mieć, a sama mówisz, że w czekaniu jest radość…

– Ale trzeba mieć na co czekać, Whitman. A nie odkładać na niewiadomokiedy – zlepiła te trzy słowa w jedno szybkie uderzenie, zabrzmiało jak niewiadomiedy, a rozczarowanie rozpełzło się na jej twarzy jak rumieniec.

– Ja mogę poczekać – odpowiedziałem spokojnie. – Jesteś w gorącej wodzie kąpana.

– Obiecaj, że kiedyś pojedziemy… że mnie tam zabierzesz…

– Obiecuję, że kiedyś cię tam zabiorę.

JESTEM TU SAM… zupełnie. Nie ma żadnej dziewczynki… Spałem chwilę? Tak duszno, tak gorąco… Niebo jest powleczone mgłą. Niewyraźne… Mieliśmy tak dużo czasu…

Przepraszam, Harriet, przepraszam.

– WHITMAN, WRÓCIMY TU KIEDYŚ?

– Możemy za każdym razem jeździć gdzie indziej…

– Ale ja bym tu jeszcze chciała wrócić…

Siedzieliśmy na skałach tuż nad morzem. Było spokojne jak jezioro. Położyliśmy plecaki na najbardziej płaskim kamieniu, a i tak wrzynał mi się w udo. Zastygła przed tysiącami lat lawa nie była wygładzona przez czas, jak sądzę, nawet wyostrzyła się z czasem, obchodzenie ostrych krawędzi i tak graniczyło z cudem, ale Harriet chciała być tuż nad wodą.

Słońce zniżało się szybko ku dalekiej tafli wody, bezchmurne niebo żółkło nad wodą, potem pomarańczowiało, a okrągły czerwony placek powoli znikał za kreską horyzontu, jak na rysunku, teraz połowa, teraz jeszcze mniej, czapeczka, którą ktoś przysłonił, jeszcze tylko malutki paseczek i morze nagle zmieniło kolor na bardziej buro-srebrny, a skały zrobiły się jeszcze ciemniejsze.

– Nasze słońce zaszło – powiedziała cicho.

– I jutro wzejdzie, jak co dzień…

– Czy myślisz, że ludzie by zauważyli, gdyby nie wszeszło?

– Byłoby ciemno…

– Na Dalekiej Północy jest ciemno przez pół roku…

– No to tam by pewno nie zauważyli…

– Ale tutaj?

– Harriet, zapewniam cię, ja bym zauważył…

– A nie sprawdziłbyś najpierw, czy ci nie wysiadł zegarek? Albo telefon?

– Może najpierw sprawdziłbym, ale naprawdę to idiotyczne zastanawiać się, co by było gdyby…

TYLE WAŻNIEJSZYCH RZECZY SIĘ ZDARZYŁO… Dlaczego pamięć mi przywołuje te najmniej istotne? Nieważne? Jak z tych małych kawałków ułożę całość? Dlaczego nie pamiętam?

– WHITMAN, PROSZĘ CIĘ…

POWIEDZIAŁBYM CI WSZYSTKO, o co pytałaś. Nie zasłaniałbym się niepamięcią ani niewygodą. Byłbym inny. Lepszy. Pogodniejszy. Nie sprawdzałbym w internecie, jaka pogoda. Chodziłbym z tobą po trawie. Nic by nie było głupie i niepotrzebne. Ale jest za późno. Nawet na wybaczenie.

ALE JEJ RĘKA w moich dłoniach jest taka znajoma i taka obca. Nie odchodź, Harriet, ja już więcej rozumiem, nie chcę cię tak zostawić… Nie mogę żyć bez ciebie, nie mogę nic pojąć bez ciebie, a już byłem tak blisko…

Nie zostawiaj mnie…

Przypomnę sobie wszystko, jedynie babci już sobie nie przypomnę, może nie była taka jak twoja, ale przecież była… Tylko jej nigdy nie poznałem… Ciocia Helen zawsze nosiła fartuch. Duży, obszerny, bawełniany i zawsze czysty. Jakby musiała być cały czas w uniformie. Nie pamiętam, czy pod tym fartuchem w ogóle miała jakieś ubranie… Ale przypomnę sobie, obiecuję.

SŁYSZĘ TWÓJ PŁACZ, Harriet, nie płacz…

Kobiety nie wyglądają ładnie, kiedy płaczą. Smutek i rozpacz ścierają urodę jak szmatka. Jeśli taką szmatką próbujesz umyć podłogę – tylko rozciera brud, zostawia brzydkie zacieki, zbity w wilgotne kulki kurz, okruchy i tak pozostają w szparach. Płacz deformuje łagodne rysy, to, co było owalne, wydłuża się jeszcze bardziej, zamazuje to, co było przejrzyste, wdziera się w każdą szparkę, zniekształca ciało.

Cierpienie jest jak żelazo do znakowania bydła, raz użyte, zostawia ślad trwały, nieusuwalny. Pogłębia zmarszczki, żłobi drobne rysy, wydobywa niezauważalne dotąd niedoskonałości, tu mała blizna po ospie, tu ślad po kropli wrzącego oleju, tu pękające naczynka. Twarz robi się inna, ślad po ospie obszerniejszy jest, rozpycha się na boki i powiększa, tak zawsze było? Że taki głęboki, jakby ktoś maleńką łyżeczką wybrał ciało? A ta blizna po oleju – czy nie była drobnym śladem? A naczynka to już nie naczynka, ale naczynia połączone w pajęczynę, która pod skórą umościła sobie miejsce i nigdy go nie opuści.

Słowo cierpienie od cierpliwości wzięte.

Że tak dokładnie, krok po kroku, niespiesznie, wyrzeźbia, wykuwa w twarzy korytarze, pokrywa pęknięciami, siatką dotychczas nieskazitelną skórę.

Płacz nie zdobi nikogo. Wykrzywia w grymas usta, policzki układają się w potworny, nie do opanowania zbiór tików, nad którymi nie można zapanować. Cierpienie nie podnosi wartości tej twarzy, tych oczu, tego serca. Czy w ogóle jest potrzebne?

Nie lubię, jak się przy mnie płacze.

Pamiętam płaczącą matkę i płaczącą ciotkę. Może nawet ojca płaczącego widziałem kiedyś, ale nie chcę tego pamiętać. To tak jak podglądanie kogoś w trakcie czynności fizjologicznych, które powinny odbywać się wyłącznie w samotności, bez jakichkolwiek świadków. Płacz się tam mieści, wśród tych intymnych, brudnych oznak życia.

Nie wiadomo, co robić, kiedy ktoś przy tobie płacze… Nie wiedziałem, co robić, kiedy płakałaś…

Zerwał się wiatr i huczy w kominie, skąd tu komin? Przez niedomknięte okna porusza zasłonami, przedostaje się niewidocznymi szparami do środka, zrobiło się chłodniej…

Chłodno mi… zimno mi bez ciebie…

Wysokie trawy o barwie przestarzałego zboża szarpane przez wiatr są jak grzywa konia, który ruszył przed siebie galopem. Delikatne końcówki jak blond włosy rozsypują się na wietrze, raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby ten wiecheć żył i próbował się wydostać z jakiejś pułapki, która mocno go trzyma od dołu przy ziemi. Wygląda jak stara kobieta idąca pod wiatr albo jak stara kobieta szarpiąca się z wiatrem, walczy, żeby ustać wbrew silnym powiewom, ale jej długie włosy wymknęły się spod chustki, otulają ją w oszałamiającym tańcu wokół sylwetki, przemieszane z rozchełstanym ubraniem; to chochoł, który ruszył na spotkanie nieznanego, zapomniawszy o nogach przybitych do podłoża. Kołysze się i cierpi, próbuje i mu się nie udaje, walczy i przegrywa.

Mam wrażenie, jakby to już było, jakbym już był świadkiem tej nierównej walki. Nic się nie zmieni, jak wiatr ustanie, wszystko będzie takie, jak było. Martwe i zimne.

Wiesz, że ta conica, która rośnie przed domem, tam gdzie widziałaś tańczące jelenie… twój ulubiony świerk, w środku przetrzymuje pajęczyny na wysuszonych gałązkach, wierzch ma zdrowy i zielony, ale to złudny widok. Kiedy rozsuniesz małe, ostre gałązki, znajdziesz się w umierającym lesie – nagie, rachityczne ramionka pozbawione igieł, splątane we wzór, którego sensu nie jesteś w stanie odgadnąć, chronią tylko stare pajęczyny i odwłoki zaschłych owadów. Nie dochodzi tu światło od wielu miesięcy, pustka będzie się rozszerzać i stwarzać nowe miejsca dla tych, co obudzą się na wiosnę i będą szukać schronienia przed ptakami.

To, co dla nas jest cmentarzyskiem, może być wybawieniem dla innych. Dzisiaj chochoł stoi spokojnie, choć nie jest chochołem, tylko wysokimi trawami, objętymi sznurkiem na wysokości metra, smutna kopka ulegająca porywom wiatru.

Bez twojej miłości jestem chochołem, trawą umarłą w zeszłym sezonie, która będzie ścięta na wiosnę, bez ciebie nie zobaczę, nie poznam, nie powiem, choć tyle już zrozumiałem.

Nie chciałem żyć w lęku. Nie chciałem żyć we wstydzie. Wybrałem pomiędzy. Pomiędzy było bezpieczne, dopóki ciebie nie spotkałem. Co zrobię i gdzie pójdę? Czuję się, jakbym znikał razem z tobą. Kołyszę się na wietrze, szarpię się wśród pajęczyn, nie chcę żyć… Chcę być z tobą…

– ŻEBY TO SZLAG TRAFIŁ! – Odsunąłem od siebie laptop, byłem zmęczony i zniecierpliwiony. Miałem opracować raport i to, co jeszcze tak niedawno zajmowało mi wieczory, teraz stało się przeszkodą w wypełnionym po brzegi wieczorze z Harriet.

A ona siedziała na wysokim stołku w kuchni, pochylona nad listem, widziałem ją stąd wyraźnie, jak rzeźbę nieruchomą, noga na nogę, lewa stopa oparta na drugim stołku, łokieć wysunięty, dłoń trzymająca pióro wieczne, rozsypane włosy zasłaniały twarz; była jedyną znaną mi osobą, która pisała listy wiecznym piórem z kryształową kulką na końcu, była jedyną znaną mi osobą, która kupowała papeterię, listy wkładała do kopert i wysyłała pocztą. Nie widziałem w tym żadnego sensu, można było z całym światem porozumiewać się mejlowo, ale ona to lubiła.

– Do kogo piszesz?

Podniosła głowę, włosy osypały policzki.

– Do ciebie też mogę napisać, Whitman – powiedziała z powagą.

– Do mnie? Po co?

– Będziesz miał list ode mnie.

– Mam ciebie.

– To nie to samo… – Patrzyła na mnie, ale z daleka, stamtąd, skąd pisała. – Znałam kiedyś dziewczynę, która zakochała się w facecie i mogli się porozumiewać tylko mejlem. Wiesz, że ona sobie te listy przepisywała i chowała do szuflady?

– Niemądre – stwierdziłem stanowczo.

– Miała listy, miała je w szufladzie, a nie w zimnym elektronicznym naczyniu, które w każdej chwili może wysiąść i podziękować za współpracę.

– Komputer nie jest naczyniem i nie może wysiąść. Robisz zapasowe kopie.

– Chociaż szkoda, że – nie słyszała mojego komentarza, była w swojej opowieści – szkoda, że jej charakter pisma w tych listach, a nie jego… Ale to wzruszające… taki dowód miłości i szacunku dla cudzego słowa… A ty mówisz, żeby szlag to trafił… Uważaj na słowa, Whitman – powtarzała moje nazwisko z lubością, a mnie to przestało przeszkadzać. – Słowo jest jak kamień.

– Jak kamień? Słowo jest ulotne jak… – Chciałem znaleźć jakieś proste określenie, które by jej się spodobało, ale nic mi nie przychodziło do głowy. – Nie jest jak kamień, jest wprost przeciwne do kamienia.

– Moja babcia mówiła, że słowo jest jak kamień, jak już rzucisz, to potem nie wyjmiesz.

– Bez sensu – powiedziałem nierozważnie. – Gdzie ty rzucasz słowem jak kamieniem? Słowa się rzuca na wiatr! Ot co!

– No właśnie… Wydaje ci się, że rzucasz słowa na wiatr, nie rzuca się słów na wiatr i to nie znaczy, że je cofniesz. Próbujesz je unieważnić, mówisz: wyrwało mi się, nie to chciałem powiedzieć… Unieważniasz je, ale one mimo to istnieją. Nie przestają istnieć nigdy, słowo raz wypowiedziane liczy się na zawsze. Więc uważaj na słowa, Whitman. Bądź czujny i wracaj do pracy. Ja też muszę skończyć…

Podniosłem się posłusznie jak dziecko i wróciłem do swojego laptopa.

Harriet potrafiła mnie zaskoczyć w najmniej spodziewanym momencie. Cała była złożona z przesądów, wierzeń, zabobonów i wiary w jakieś moce, w jakiegoś boga.

– Do ciebie też napiszę, Whitman, nie martw się. – Już byłem odwrócony do niej tyłem i jej słowa połaskotały mnie w plecy.

Do ciebie też napiszę, Whitman.

Nie wiem, do kogo pisała tamten list.

HARRIET, KOCHANA MOJA, powiedziałbym ci o wszystkim dzisiaj. Dostałabyś klucze do mojej duszy i może wtedy miałbym odwagę zapytać o twoje życie, twoje wybory, twoje marzenia, twoje sny i twoje obawy, o twoją przeszłość, twoją matkę. Przestałbym się bać. Wszystko bym zniósł, wszystko zrozumiał, towarzyszyłbym ci na twojej drodze. Moja miłość uniosłaby twoje oddalenia bez strachu, że nie wrócisz. Ty jesteś ty, ja jestem ja, ty jesteś mną, ja jestem tobą. Dlaczego trzymam twą martwą dłoń i nie mogę jej przywrócić do życia?

Umieram razem z tobą, nikt mnie nie zmusi do odejścia od ciebie, będą musieli wezwać ochronę, może policję. Nie zostawię cię im. Nie pozwolę, żeby nas rozdzielili.

Będziesz zawsze bezpieczna przy mnie.

– Whitman, statki nie dlatego toną, że pływają po wodzie. Toną tylko wtedy, kiedy woda dostaje się do środka – mówiłaś.

Co wtedy odpowiedziałem? Nie pamiętam…

– Nie pozwól, żeby coś z zewnątrz, co nie jest dla ciebie dobre, zatopiło cię…

Jestem otulony twoim głosem z przeszłości, jesteś mną…

Skąd mam wiedzieć, czego byś chciała, skoro wszystko, co wymyślę, będzie tylko domysłem, którego nie sprawdzę? Harriet, nie odchodź, niech czas się cofnie dla mnie jeden jedyny raz, a zmienię wszystko.

Miałaś rację.

– Nie chodzi o rację, Whitman, tam gdzie ludzie chcą mieć rację, znika to, o czym chcą się przekonać, znika problem do rozwiązania, znika treść i waga tego, o co walczą, zostaje tylko racja. Nic nie-

warte słowo, puste echo tego, o czym dyskutowali, o co się kłócili, co chcieli zmienić – racja, czyli nic. Nie chcę mieć racji, chcę cię kochać i być kochana. A wtedy świat zrobi się lepszy. My się zrobimy lepsi. I dlatego ja wiem, że twoja gospodyni ma dziecko ze zwichniętym stawem biodrowym i dlatego czasem odwołuje przyjście. Dlatego cię przekonywałam, żebyś jej nie zwalniał… I oczywiście miałeś rację – nie było jej wtedy, kiedy ty na nią liczyłeś, ale pod tą racją jest ciężko chora dziewczynka, do której ona idzie co dwie godziny. Każdy ma coś, co go uwiera i boli – ale może z tego zrobić dowolnie użyteczną lub nieużyteczną rzecz. Możesz złościć się na świat albo pomagać temu światu, możesz szkodzić, możesz uzdrawiać, możesz wybierać, ale tylko wtedy, kiedy nie pozwolisz, żeby ktoś ci nałożył klapki na oczy. A innym możesz współczuć, jeśli potrafisz współczuć sobie. Czy potrafisz sobie współczuć, Whitman?

CZY POTRAFIŁEM WSPÓŁCZUĆ?

Może mówiła mi o tej dziewczynce, ale każdy coś niesie ze sobą. Ja nie jestem od zajmowania się światem. Nikt tego nie ogarnie.

Zatrudniam kogoś i ten ktoś dla mnie pracuje. Ja jestem zatrudniony i pracuję na rzecz firmy, która mnie zatrudnia. Nikt mnie nie pyta, jak się czuję, czy mnie coś boli – jestem pracownikiem, Harriet, na miłość boską!

– Może kiedyś się to zmieni – podwinęła jedną nogę pod siebie, przechyliła się na prawo, w stronę światła lampy przy tapczanie, i otworzyła swój szkicownik. Ołówek trzymała w ustach, zawsze nadgryzała wszystko, co służyło do rysowania, pisania, robienia notatek. Wszystkie jej ołówki i pisaki nosiły ślady jej zębów.

I zamilkłem.

NIE PUSZCZĘ TWOJEJ DŁONI. Nie pozwolę im ciebie zabrać. Wróć do mnie, Harriet, nie mogłem sobie współczuć, bo zalałbym świat tym współczuciem. Nie chcę się czuć winny. Nie potrzebuję niczyjego współczucia.

– WBIJASZ SWOJEJ MATCE gwóźdź do trumny!

– Flaki sobie dla ciebie wypruwam!

Czułem przez lata te gwoździe i widziałem te flaki.

Kiedyś, bardzo dawno temu, kolega rozpruł kota na podwórku, z brzucha wylały mu się węże, staliśmy nad tym kotem i patrzyliśmy na te wijące się, jeszcze parujące jelita, nie byłem przerażony, byłem zdziwiony, jak tyle tego mogło się pomieścić w brzuchu takiego małego kotka? Jeśli kot ma tak dużo tych świństw, to ile musi mieć ich człowiek, kilometry?

Więc mój ojciec wypruwał dla mnie flaki, a ja byłem złem najgorszym, przez które moja matka zwariowała.

A przecież nie robiłem nic.

Przywierałem do ściany, żeby być mniej widoczny, wtapiałem się w meble, przesuwałem się w stronę kuchni prawie niezauważony, na palcach, łapałem w rękę kromkę chleba, nie otwierałem lodówki, żeby nie narobić hałasu, i wysuwałem się niepostrzeżenie na podwórko.

Ciotka Helen przytulała mnie czasami, rzadko, ale prawdziwie, z czułością.

– Nie martw się, będzie dobrze, rób swoje, wierzę w ciebie, dasz sobie radę w życiu, zobaczysz.

Zjedz. Usiądź. Poucz się. Teraz idź. Wytrwaj.

Wytrwałem.

Długo nie wiedziałem po co, ale w końcu zdarzyłaś się ty. Po to wytrwałem. Dla ciebie. Więc nie zostawiaj mnie, Harriet.

Jak długo to trwa?

– Andrew, musisz być dzielny! Andrew, musisz się z tym pogodzić! Andrew, powinieneś wiedzieć, co robić!

Wiedziałem, co robić, Harriet. Jestem niezależny, jestem wolny, płaciłem przez lata na najlepszy dom opieki dla matki, nie zapomniałem o swoich powinnościach, przesyłałem pieniądze na życie cioci Helen w imieniu swojego ojca, żeby czuła, że jest ważna dla niego, nie chodziło o mnie, chodziło o nią, jedyną dobrą i życzliwą osobę, jaką pamiętam z mojego obmierzłego dzieciństwa, o tę ciotkę, o której mój ojciec tak łatwo zapomniał. Starałem się, Harriet, ze wszystkich sił. Mogę ci o tym opowiedzieć, jeśli chciałabyś słuchać.

Ale to są nieważne rzeczy, fakty bez znaczenia, było, minęło.

Dlaczego twoje dłonie są takie nieruchome? Dlaczego nie mogę ich uścisnąć? Nie mogę mówić, w gardle mam knebel; teraz, akurat teraz, kiedy mógłbym ci opowiedzieć wszystko i o wszystko zapytać, nie mogę wydusić z siebie ani słowa.

Ten kurz na książkach jest mój?

Skąd te książki u mnie?

Czy to ty je przyniosłaś zamiast szczoteczki do zębów?

Nawet nie zauważyłem, kiedy nasze rzeczy się zmieszały, splątały, kiedy przestałem oddzielać swoje rzeczy od twoich.

Ile czasu minęło? Jak dawno zamieszkałaś we mnie?

– NIE JEST PAN RODZINĄ – mówi człowiek, który bawi się w lekarza.

Nie jestem upoważniony.

Powiedział „pan" czy „pani"? Nie dosłyszałem?

Jestem jedyną rodziną, jaką ma...

Czy to mój głos taki stłumiony?

Czy to ja tak brzmię?

– Jestem jedyną rodziną...

Kto ma opuchnięte oczy i czerwony podbródek?

Dlaczego czerwony?

Ja nie płaczę.

Ja nie wierzę.

Owszem, samochód jest jej.

Może go ktoś ukradł.

Może pożyczyła.

Może wysiadła gdzieś na jakiejś stacji benzynowej, a ktoś obcy wsiadł i pojechał.

I zabił się.

A ona gdzieś tam czeka, bez telefonu, bez dokumentów, bez pieniędzy. Może powinienem sprawdzić stacje benzynowe.

Tak, najpierw powinienem sprawdzić stacje.

– Nie mogę bez pozwolenia policji... – tłumaczy pan w białym fartuchu.

POLICJA? A co tu robi policja?

Dwóch ich jest.

Jak Flip i Flap.

Jak Roger i Moore.

Jak przystanek D-4. Jaki przystanek?

Wysoki ten z lewej. Z prawej niski. Ma na nosie pieprzyk, jak przyklejony niedbale kawałek czekolady.

Ale to nie czekolada.

– Andrew Whitman? – pyta ten z lewej, wysoki, bez pryszcza. A może bez pieprzyka. Może jednak z kawałkiem czekolady.

– To ja – chcę powiedzieć, bo nie chcę, żeby wzięli kogoś innego za mnie, nie chcę, żeby jej mówili coś, o czym ja muszę wiedzieć, co ja powinienem wiedzieć, że to nie ona, nie Harriet, to złodziej, bandyta, a ona nie wiadomo gdzie jest.

Trzeba jej poszukać, trzeba po nią pojechać, trzeba ją odnaleźć, przytulić, pozwolić się wypłakać, może jest przerażona, a może jej zimno, więc tak, to ja jestem Andrew Whitman.

I, panowie, nie można tracić czasu.

I, panowie, chodźmy, jeźdźmy, nie stójmy tutaj.

I, panowie, nie czekajmy na nic, trzeba coś zrobić.

I to szybko.

– Czy ktoś zna tożsamość?

To pytanie zastępuje inne – kto zidentyfikuje ciało?

Oczywiście ja, ja, bo to nie ona, to ktoś obcy, ktoś, kim ona na pewno nie jest, więc tak, tak to wam powiem, uświadomię natychmiast, żeby już ruszyć się stąd i…

Ktoś wybucha znowu płaczem, trudno to znieść, powieki pewno już ma opuchnięte, ręce wilgotne, ale staram się nie widzieć cieczy płynącej z nosa i oczu, za wcześnie na rozpacz, bo to na pewno nie chodzi o nią.

– Proszę za mną – słyszę głos tego z lewej, a może to ten z pryszczem mówi, a może to nie pryszcz, może to blizna taka czerwonawa…

Jedziemy…

Winda zjeżdża na sam dół, do kostnicy? Prosto w białe kafle i niebieski szlaczek z niebieskich kafelków, i światła nieprzyjemne, rażą w oczy, aż muszę je przymknąć…

MASZ RACJĘ. Jeśli chodzi o czekanie. Jeszcze bardziej czekam, czekam jak nigdy. Czekam na ciebie tak mocno i tak bardzo jak nigdy przedtem.

To była nasza ostatnia rozmowa. I twoje ostatnie słowa. O tańczących jeleniach. O tym, jak wolisz myśleć. Że tańczyły. Twoje ostatnie słowa, nie „kocham cię", ale „tańczące jelenie".

Nie jechałaś szybko. Nigdy nie jeździsz za szybko.

Na pewno zmierzyli drogę hamowania.

Hamowałaś ostro, może coś przebiegło przez drogę, może ptak się zerwał do lotu, może cień jakiś padł na drogę, a ty nie chciałaś zabijać cienia.

Bo nagle nacisnęłaś hamulce, wiem, że tak było,

nic nie jechało,

nic cię nie oślepiło,

nie jechał nikt z naprzeciwka ani za tobą, ani przed tobą,

skręciłaś nagle, może na moment zasnęłaś

i samochód rzuciło w bok, musiałaś kręcić kierownicą w stronę przeciwną, to odruch, a kręci się zgodnie z poślizgiem, kto tak robi? Kto nie był wyćwiczony na sztucznym lodowym torze, kto nie był na ćwiczeniach na zamkniętym pasie lotniska w czasie mrozów, gdzie organizowano taki kurs dla kierowców.

Byłem już kiedyś w kostnicy. Jeszcze raz musiałem potwierdzić, że to moja matka. Leżała tam. Rozciągnięta jak zwierzę przygotowane do patroszenia.

Poznałem ją, potwierdziłem.

Teraz nie chcę niczego potwierdzać.

Jeśli zamknę oczy, jeśli ich nie otworzę, nic nie zobaczę. Wszystko wyda się snem. Chcę tylko zasnąć. Nic więcej.

– Whitman, poza tą granicą jest miłość, która cię ogarnia wolnością, ale bez wątpliwości, bez strachu, bo już nic się nie może okazać.

I miała rację.

– Whitman, wszystko, co się okaże, będzie lepsze od tego mroku, który cię wcześniej oddzielał ode mnie, teraz będzie już tylko światło.

Tam będzie leżała w świetle tych lamp zimnych, z twarzą nakrytą, obnażona, więc nie chcę się obudzić.

– *Proszę, spójrz na mnie.*

Nie chcę na ciebie patrzeć, dopóki nie spojrzę, nic się nie wydarzy.

– Whitman, to mrok znany, teraz lampę tam zapalono i sprawdzono wszystkie kąty, pleśń na ścianach wiadoma i brud w szparach podłogi, pochowane przed wścibskim wzrokiem stare łachmany niedobrych wspomnień, wyrzutów sumienia zgniecionego, pozwijana w ruloniki wina twoja od początku, od narodzenia, wstyd upchany pod deski podłogi, a mimo to śmierdzący, tam wszystko było, nieoświetlone i zapomniane, teraz już jest jasność…

WPUŚCIŁEM JĄ DO SIEBIE…

Rozebrałem się i musiałem sobie przypomnieć to, o czym nie chciałem pamiętać.

– Nie pamiętam – mówiłem, kiedy mnie pytała ta lub tamta o to lub owo. Nie pamiętam – było dobrą tarczą, dobrymi drzwiami skarbca, ołowianymi, mocnymi, wzmocnionymi, obitymi blachą przeciwwłamaniową, byłem zabezpieczony przez niepamięć i obroniony tym zdaniem.

Nie wcisnął się tam nikt, żadna ona.

Harriet wpuściłem do środka.

Otworzyłem szeroko drzwi do swojego spleśniałego skarbca. Skarbca trwóg i nieuczciwości.

– Nie możesz nie pamiętać, możesz nie chcieć mi powiedzieć, ale nie mów, że nie pamiętasz. Jeśli cię nie poznam, jak będę cię mogła kochać? – mówiła. – Nie udawaj, Whitman.

Więc odwiązałem bandaże i pokazałem wszystkie rany, rozebrałem się i pokazałem wszystkie blizny.

I teraz mam ją tutaj zobaczyć?

Wolę nicość.

Będzie obnażona?

Doświetlona?

Bez tajemnicy.

Martwa.

Brzydka i poraniona.

Nie ona, ciało, w którym mieszkała. Jej opuszczone mieszkanie chcieli mi pokazać.

Rozlewa się siniec na brzuch, być może sięga już piersi, ale nie widzę, bo poszarpane ciało chyba… Nieumyte…

Czuję tylko ból, który rozdziera mnie powoli, od obojczyków do pępka, rozpoławia moje ciało, rozrywa mnie na dwie osobne części…

– *Otwórz oczy!*

Nie chcę patrzeć na nic, chcę zlać się z dobrą szarą mgłą, która pojawia się obok, chcę być jej częścią, ulotną, nieczującą nic, obojętną, ogarniającą świat, miękką, wilgotną i ciepłą.

Jestem jej jedyną rodziną.

– Kochałem ją.

– *Pani Harriet?*

– To ona – chciałem powiedzieć, ale nie mogłem wydusić z siebie ani słowa, i wtedy jej dłoń opadła, kiedy przykrywali ją plandeką jakąś, a ja tam stałem i podszedłem, żeby tę rękę przytrzymać i schować przed ich wzrokiem, i na kłykciach palców te drobne skaleczenia były, i nie mogłem tej ręki zostawić, musiałem ją chronić, nie puścić, i tak stałem, a oni stali również, chociaż ten pryszczaty prosił i mówił.

– *Chodźmy już.*

Ale nie szli, bo ja się nie ruszałem z miejsca, i oni stali.

Rzeźba była chłodna i bez życia, tylko ranki były nią. Nie chciałem im zostawić jej ranek. Miałem być bandażem, miałem ją chronić, miałem się nią opiekować, miała być ze mną szczęśliwa.

– Musicie opuścić – zawahał się ten bez pryszcza – to miejsce.

Więc opuściłem to miejsce, bo przecież trzeba było jej szukać i ją odnaleźć, gdzieś przecież była, gdzieś się schroniła, gdzieś musiała przeczekać to, co się stało.

Ale gdzie?

Gdzie była?

W jakiej poczekalni?

– WIESZ, WHITMAN, CO W TOBIE LUBIĘ?

Aż drgnąłem.

Staliśmy w kuchni przy blacie. Tarłem buraki, żeby nie pobrudziła sobie rąk. Wymyśliła domowy obiad, taki jaki robiła jej babcia. U mnie takich rzeczy się nie jadło – o wiele łatwiej przecież kupić coś gotowego, niż samemu obierać, czyścić, ścierać.

– Wiesz, co w tobie lubię? – powtórzyła, jakby nie wiedziała, że przecież usłyszałem to pytanie.

Ja nie pytałem o nic.

Wolałem nie wiedzieć.

Po co wiedzieć rzeczy niepotrzebne?

Nieprzydatne?

Niepokojące?

Lub fałszywe?

Po co się silić na wymyślanie czegoś, z czego potem trzeba się będzie tłumaczyć?

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć.

– Jesteś prawdziwy.

Włożyła do zlewu obrane ziemniaki i teraz sprawdzała, czy nie został jakiś mały, czarny ślad. A przecież można było kupić frytki, wrzucić na oliwę i nie paprać się niepotrzebnie.

– Oczywiście, że jestem. Ani grama niczego, co by nie było mną.

– Jesteś prawdziwy – powtórzyła i nalała wody do garnka, odstawiła garnek na blat i wygrzebywała resztki łupin ze zlewu. – Jesteś do bólu prawdziwy, a to nie jest znowu takie częste. To niezwykle cenne.

Buraki przekapywały mi przez palce, tarłem na najmniejszych oczkach; można je było wsadzić w mikser, trzy minuty roboty, ale ona chciała tarte.

– Nie znam sztucznych ludzi, Harriet, znam tylko sztuczną inteligencję.

– Jesteś prawdziwy, bo nie fałszujesz. – Harriet puściła wodę cienkim strumieniem i opłukała zlew. Wzięła gąbkę i ścierała blat – czerwone krople buraczanej krwi rozpryskiwały się pod moimi palcami. Zrobiłbym to po wszystkim, takie sprzątanie w międzyczasie, jak się jeszcze coś brudzi, jest bez sensu, ale tarłem i spryskiwałem dalej blat, a ona wycierała tę czerwień. – Odpowiadasz na pytania. Nie kombinujesz. Nie udajesz. Po prostu jesteś. Jesteś niezwykły, Whitman. Wszystko w tobie jest prawdą.

– Brzmi to imponująco, czyż nie?

– Nie staraj się tego umniejszyć, bo ci to nie wychodzi. – Położyła dłoń na mojej ręce, a dotyk miała łagodny i wilgotny od mokrej gąbki.

– A więc jestem chodzącym ideałem – podkreśliłem ideał dość mocno. – Jak skończę, to posprzątam.

– Ciężko ci się tego słucha czy nie możesz usłyszeć? Usłysz to, Whitman, i tyle.

Odłożyła gąbkę i dalej stała przy mnie.

Może powinienem powiedzieć coś o niej.

Albo może chciała, żebym powiedział, za co ją lubię.

– Nie jesteś wcale ideałem. To też w tobie lubię.

– To może też powiesz mi, za co mnie nie lubisz?

Roześmiała się, jakbym naprawdę powiedział coś śmiesznego, i postawiła na palniku garnek z ziemniakami.

– Nie lubię niektórych twoich zachowań. Chociaż, jak sam kiedyś powiedziałeś, tylko informacja niedostarczona jest bezużyteczna, to nie wiem, czy chcę ci teraz o tym powiedzieć. Masz zadziwiającą zdolność nieprzyjmowania do wiadomości rzeczy miłych, od razu chcesz je zrównoważyć albo znieważyć, jakby dobro miało cię przygnieść. Idę zająć się ważnymi sprawami.

– Jakimi? – spytałem pro forma.

– Bardzo, bardzo ważnymi. Nicnierobieniem.

Zostałem sam w kuchni. Z zapapranym blatem, czerwonymi rękami i ziemniakami na płycie.

Sam.

Bez fałszu.

Prawdziwy.

Niezwykły.

Wszystko we mnie było prawdą.

Przede wszystkim miłość do niej.

ŚWIATŁO JEST ZA JASKRAWE. Kłuje w oczy. Jest za bardzo… Tylko ten poszum przyjemny taki…

– LUBISZ TAK SIEDZIEĆ W CIENIU SŁOŃCA?

– Nie siedzimy w cieniu słońca, siedzimy w słońcu, Harriet.

– Tak ci się tylko wydaje.

– Nie wydaje mi się. – Wyciągnąłem rękę przed siebie i zasłoniłem dłonią oczy. Teraz dopiero mogłem je otworzyć. – Teraz mam dopiero cień na twarzy.

– Mówisz tak przez rozum. A jeśli byłoby światło silniejsze milion razy od słonecznego, to słońce byłoby przeszkodą między nami a tym światłem. A cień powstaje z przedmiotów, które są między tobą, obserwatorem, a źródłem światła, prawda? Ergo, słońce dawałoby cień. I daje.

– Prawda. Gdyby. Ale nie ma niczego jaśniejszego.

– Ale gdyby było? Słońce rzuca cień i skupiasz się na tym, co przeszkadza. Co staje między tobą a źródłem światła. Nie jesteś uważny, nie można zobaczyć czegoś, co jest zasłonięte. Jeśli słońce tylko pozornie przyciąga uwagę, oświetlając te rzeczy, które my widzimy, to nie widzimy, że sami jesteśmy w cieniu, prawda?

– Harriet, leżysz w słońcu. Spalisz się na amen.

– A ono tylko oddziela nas od czegoś mocniejszego i ważniejszego.

– Od Boga?

– Nazywaj to, jak chcesz. Od miłości. Ty myślisz, że rozum rozjaśnia, więc odwraca twoją uwagę od intuicji, uczuć, emocji i zabija to, co podstawowe, z czym się urodziliśmy, poczucie bycia częścią uniwersum, nie my rządzimy światem. A jeśli sobie wyobrazisz, że jest taka miłość, która jest silniejsza i jaśniejsza od słońca? A my jesteśmy w cieniu słońca, nieświadomi tego zupełnie?

CO ZOSTANIE PO NIEJ, kiedy ja już nie będę wiedział nawet tego, jaki dźwięk jest podobny do jej głosu?

Jak długo jeszcze, patrząc na ocean, będę miał wrażenie, że odpłynęła na moment, może daleko, nie widzę jej, ale zobaczę za chwilę, jak zawsze wróci…

Widzę przypływ i odpływ, widzę jej głowę, jak wynurza się z fal i zanurza w nich…

Wszystko przed nami, poczekaj, dlaczego mówiłem nierozsądnie „poczekaj", nie trzeba było czekać, nie powinniśmy byli czekać, czekaj do wiosny, nie chodź boso po śniegu, poczekaj, aż będzie cieplej, poczekaj, aż spadnie deszcz, aż wybije dziewiąta, nie idź tam tak wcześnie, to nam nie ucieknie,

wszystko poczeka. Nic nie chciało poczekać, mieliśmy tylko to, co nam zostało dane, nie wiedziałem przecież, że nic już nie będzie, powiedziałbym ci: nie czekaj, teraz, dzisiaj, najpóźniej jutro, jeśli chcesz, to tak właśnie zrobimy.

Pocałować cię, nie teraz, ludzie patrzą, co sobie pomyślą, ludzie, patrzcie, myślcie sobie, co chcecie, krzyknąłbym teraz, tak, teraz to rób, nie później, nie będzie żadnego później, nie jedź, zostań, jeszcze jeden dzień, jeszcze jeden tydzień chociaż…

Nie zostawisz mnie nigdy, mówiłaś, już nie chcę nikogo innego kochać.

Nie zrobię ci tego, możesz mi zaufać, nie pragnę niczego więcej, tylko całego świata i ciebie – poprawiałem się, ale nie za często.

Żadne pocieszenie nie przywróci ani jednej sekundy, ani jednego słowa, ani jednego przerwanego zdania, nie mówiłbym, słuchałbym więcej, dotykałbym cię częściej, przepraszał za wszystko i dziękował bezustannie za każdy poranek, każdy dzień, każdą godzinę, każdy wiersz, który mi czytałaś, i za te niedobre buraki, które dla mnie zrobiłaś, takie jak robiła twoja babcia.

Siedziałbym z tobą w pracowni, w kącie, nie odzywałbym się, nie przeszkadzałbym, patrzyłbym tylko na ciebie i na to, co robisz.

Nie wolno nam było czekać, Harriet.

Ty miałaś rację, a nie ja.

Teraz tylko statystycznie umieściłaś się w moich wykresach.

Jeśli rekin mnie pożre, to dla mnie ważniejszy jest rekin.

Jesteś dla mnie najważniejsza, Harriet.

Dwadzieścia pięć i osiem dziesiątych wypadków drogowych na sto tysięcy mieszkańców.

Liczba, którą powiększyłaś o błąd statystyczny.

Nieliczący się drobny błąd, który odebrał mi życie.

MÓJ GPS WYDAJE POLECENIE:

„Za osiemset jardów skręć w lewo, a potem prosto siedemdziesiąt mil".

Posłusznie więc przesuwam się na lewy pas, a potem skręcam, a później jadę prosto.

Zaczyna padać z nieba drobna kasza, zmarznięta mżawka, a tir jadący przede mną wypluwa na szybę mojego samochodu bryzg błota, nieprzerwany, drobny, szarą mgłę oleistego śniegu, który zdążył obumrzeć na szosie, a teraz wchodzi w bieżnik i jeszcze ostatkiem sił próbuje wzbić się po raz ostatni w niebo, a kończy na mojej przedniej szybie.

Agonalny deszcz, zabrudzony, łachmaniasty, wtórny.

Jeszcze sto dziesięć mil.

W górach będzie śnieg. Będzie pięknie. Jest mróz i czekasz na mnie.

Jeszcze tylko dwie godziny jazdy.

Tańczące jelenie…

Włączam radio.

Na tylnym siedzeniu mam niespodziankę dla ciebie.

Uśmiecham się na myśl, jak zareagujesz.

W radiu informacja o wypadku na drodze 63, przed Ashton Tower – przewróciła się cysterna, trzy osoby ranne, objazd, droga będzie zablokowana przez przynajmniej cztery godziny, na miejsce wypadku udały się ekipa specjalistów od chemicznych zagrożeń i sześć jednostek straży pożarnej.

Ewakuowano gospodarstwa. Kto może, niech tamtędy nie jedzie, jeżeli masz wiadomości o tym, co ciekawego zdarzyło się na drogach, zadzwoń do nas, nasz numer to 723… – dla najciekawszych faktów nagroda, weekend w hotelu spa, dzwoń już teraz!

Agresywny komunikat, najciekawsze fakty, kto gdzie kogo zabił? Może ktoś coś takiego widział? Sprawozdanie z pierwszej ręki będzie nagrodzone weekendem w Resort Hotel!

Czy ten, kto zadzwonił, że kobieta z dziećmi wjechała pod ciężarówkę, prosto pod nią, z całą siłą, z szybkością stu mil na godzinę, zjechała ze swojego pasa, żeby uderzyć celowo, specjalnie, wymierzyć i zderzyć, i zabić – dostał w nagrodę weekend w spa? Dodatkowy masaż gorącymi kamieniami? Drinki w barze do dwudziestej drugiej za darmo?

Zobaczył pogniecione ciała jej czworga dzieci, osobowy nissan wsuwający się pod ciężarowy samochód, może usłyszał trzask blachy, ona pęka charakterystycznie, ostro, tępo, jakbyś przedarł przed wzmacniaczem metalowe prześcieradło, i jak już te dzieci pogniecione – to za telefon, i wygrał pan, proszę bardzo, oto zwycięzca, oto nagroda dla najciekawszej informacji, on to widział, my to powtarzamy, w zamian za ten widok, którym tak dzielnie się pan podzielił – ręka oderwana, a tylne fotele tak zgniecione, że trupów nie było widać, tylko nogę jednego, a musieli ciąć resztę – spędzi pan dwa dni w hotelu spa, basen i jacuzzi w pięknych okolicznościach przyrody, dziękujemy bardzo, cóż to za tragedia, co za nieszczęście, gratulujemy panu serdecznie, dzwońcie do nas, bezpiecznej jazdy!

CZY KTOŚ SPĘDZIŁ WEEKEND W SPA, bo widział twoje ciało?

Bo widział nieobutą ciebie, wyciągniętą na wierzch, żyłaś jeszcze? W zamian za to, że przejeżdżał przypadkiem, wziął w nagrodę swoją dziewczynę, swoją żonę, swoją kochankę, może odrobinę podobną do ciebie, może miała takie włosy jak ty, choć to niemożliwe, do tego spa, do tego hotelu, na te masaże?

Gdybym zostawił te klucze, tak jak się umawialiśmy, pod zieloną doniczką, na drugim oknie na prawo od ganku, tam gdzie zwykle je zostawialiśmy, na wszelki wypadek zawsze tam, nigdy gdzie indziej, nie pojechałabyś do Anne, która od czasu remontu i tej zaciekającej ściany zatrzymała drugą parę, na wszelki wypadek, gdyby się coś działo, jakby mrozy wcześniej, żeby wyłączyć wodę, jakby susza, żeby włączyć i podlać, jakby pożar, żeby ratować, jakby, jakby, jakby…

Więc Anne miała klucze, po które wróciłaś na drogę 172, zadzwoniłaś do mnie:

– Nie zostawiłeś kluczy, nie szkodzi – jadę do Anne.

Nie zostawiłem kluczy?

Nie zostawiłem kluczy, byłem w chatce trzy tygodnie temu, czemu ich nie zostawiłem pod zieloną doniczką z prawej strony jak zwykle, co robiłem, o czym myślałem, że nie zostawiłem ich tam, gdzie zostawialiśmy je od roku na wszelki wypadek.

– Już do niej dzwoniłam, włączyła nam ogrzewanie, będzie cudnie, cieplutko, będę czekać na ciebie, upiekła ciasto drożdżowe, więc będzie na śniadanie, ja nic nie kupiłam, nie zdążyłam, dobrze się składa, kochany, tak się cieszę, że przyjedziesz jeszcze dzisiaj, a ja dzisiaj niespodziankę ci zrobię, zobaczysz, i nie powiem, i będziesz jeszcze bardziej czekał…

A potem nagrałaś się, bo nie było zasięgu.

– Jedź ostrożnie, bo ślisko, śnieg leży, wcale nam nie odśnieżyli, obiecali, ale nic z tego, pięknie jest, jelenie musiały podchodzić pod ganek, ślady widziałam, dużo, nie wiem ile, nie poznam przecież, może to był jeden i tańczył nam przed domem, a może dwa. Skąd mogę wiedzieć. Wyobrażasz sobie, tak blisko, może szukają jedzenia. Masz mój zielony sweter, zapomniałam, a jest naprawdę zima, prawdziwa zima… Wolę myśleć, że nie z głodu tak blisko, że te jelenie tańczyły…

Jeszcze dwadzieścia sześć kilometrów.

Sięgnąłem po telefon i odsłuchałem twoją wiadomość.

Twoje ostatnie słowa do mnie.

MASZ RACJĘ. Jeśli chodzi o czekanie. Jeszcze bardziej czekam, czekam jak nigdy. Czekam na ciebie tak mocno i tak bardzo jak nigdy przedtem.

To była nasza ostatnia rozmowa. I twoje ostatnie słowa. O tańczących jeleniach. O tym, co wolisz myśleć. Że tańczyły. Twoje ostatnie słowa.

A POTEM TYLKO ZGRZYTANIE METALU o asfalt. Bez huku, tylko ścieranie się blachy z nawierzchnią. Karuzela czeka, wita nas z daleka, ziemia na niebie poprzecinana białymi łachami śniegu, koła w górze, twarz przy szybie, szyba na drodze, zanim samochód uderzył w drzewo lekkie zdziwienie, że tak się kręcił i kręcił jak bąk, i że tak to długo trwało…

– WHITMAN, WRÓĆ!

Czy mi się wydaje, że wołasz mnie z bardzo daleka? Czy tylko wyobrażam sobie twój głos, należący przecież do mnie na zawsze…

Dlaczego nie mogę ci odpowiedzieć?

Nigdy i nigdzie nie odejdę, nie muszę wracać, jestem przy tobie, moja jaskółko…

Kto mnie tak szczelnie opatulił, że wszystko wydaje mi się snem, z którego chcę się obudzić, ale właściwie śpi mi się słodko, bo mam ciebie pod powiekami, mam ciebie tuż obok, a rzeczywistość niech się oddali, niech nie atakuje, niech nie czyha na mnie, nie muszę już jej mieć na co dzień.

– Whitman, czekam na ciebie…

Jestem cały czas.

Jestem.

Ale dobrze mi tak, przestaje boleć twoja nieobecność, twoje znikanie, matka mnie tak mocno przytuliła, że mam zatkane usta i zasłonięty jej ciałem nos, wstrzymuję oddech, bo musiałbym ją odepchnąć, odsunąć się, a tak rzadko to robi…

Jeśli się odsunę choćby o parę centymetrów, wezmę głęboki oddech i potem znowu ukradkiem wsunę się między jej ciepłe piersi, może nie zauważy…

Sucho mi, pić, tylko pić…

Pamiętasz, Harriet, twoją Emily?

Serce żąda Rozkoszy – najpierw –
Potem – Zwolnienia od Bólu –
Potem – tych krótkich Narkoz,
Które cierpienie znieczulą –

Potem – chce Snu – a potem –
Jeśli tego nie wzbrania
Inkwizytor – chce tylko
Przywileju Skonania –

I światło widzę… Jestem tam, gdzie ona, już mogę odejść w stronę światła, już nie będzie cierpienia, zostanie tylko pamięć…

– OTWORZYŁ OCZY!

Wydaje mi się, że to twój głos, Harriet, to na pewno twój głos, jesteś tuż obok, nareszcie…

Już nie będzie oddalenia, spełniło się, widzę światło…

To światło jest inne niż tamto w kostnicy. Nie takie silne, nie takie sine, usuńcie mi z rzęs ten niedowład, ten brud glutowaty, który skleja mi powieki, pozwólcie mi usłyszeć raz jeszcze jej głos, proszę…

– Wybudza się.

Harriet kochana, nie spałem, tak bardzo tęskniłem za tobą. Słyszę cię, jakbyś tu naprawdę była, jakbyś nie umarła, jakbyś mnie nie zostawiła na tę rozpacz i ból. Niech ta ułuda trwa, bo czuję ciebie. A je-

śli śpię, to nie budźcie mnie, jeśli jesteś moim cudownym sennym marzeniem, nie chcę się obudzić. Czekaj na mnie, podniosę się i pójdę za tobą, w stronę światła.

– *Whitman! Proszę.*

Jak prawdziwie brzmi twój głos…

Jakbyś nie była martwa.

Jakbym cię nie zostawił tam w tej kostnicy z kafelkami niebieskimi…

– *Whitman… kochany…*

Wiem, że to umysł płata mi figle, ale wolę być z tobą w tym szaleństwie, w świecie, gdzie brzmi twój głos jest łatwiej, jest dobrze… Pójdę za twoim głosem…

– Kochany, leż spokojnie, nie możesz jeszcze mówić, jesteś intubowany, byłeś w śpiączce, Boże, budzisz się…

Sklejone powieki nie są całkiem posłuszne, jakby nitki się ciągnęły od górnej do dolnej, jakby ktoś kisielem mi wysmarował twarz.

Uchylam powieki do tego snu, jest dobry, w tym śnie Harriet nachyla się nade mną. Jak żywa. Moja Harriet.

– Leż… Jestem przy tobie… Miałeś wypadek… Dachowałeś, uderzyłeś w drzewo… Boże, jak to dobrze, że żyjesz… Wiedziałam, że wrócisz… Jestem przy tobie, trzymam cię za rękę… Wszystko będzie dobrze… Panie doktorze, wybudził się!

ZMIANA CZASU I WYMIARU jest dla mnie trudna. Chciałbym coś powiedzieć, ale nie mogę. W ustach mam rurę, której nie mogę wypluć. Chcę ją wypluć, ale nie mam siły.

Więc to ja?

Tańczące jelenie… A potem… Co potem? Nagle samochód przestał mnie słuchać… Tańczyłem… On tańczył ze mną… Uderzył w drzewo, odbił się jak piłka, świat przewrócił się do góry nogami… Dach szorował o asfalt i taki ból przez chwilę tylko i potem spokój…

Lepkie się wszystko zrobiło, czerwone, krew kapała ze mnie?

Dwóch ich było…

Pytali, czy ja jestem Whitman?

Mnie pytali? O mnie pytali?

Dwóch ich było…

To oni do mnie…

A to pik, pik, pik, pik – to moje serce?

Ten szum… To nie było morze?

Uchylam z wysiłkiem powieki. Chcę się upewnić, że to Harriet, ale nic nie mogę powiedzieć, czuję jej dotyk, to ona, tylko ona tak dotyka, tylko ją moje ciało natychmiast rozpoznaje.

Pikanie przyspiesza. Pikpikpikpik…

– Kochany, zaraz dostaniesz leki, oni to usuną, jesteś, mój kochany, jesteś – słyszę jej głos i wiem, że to prawda, że to nie sen - leż spokojnie, jesteś po operacji… twój brzuch… wiedziałam, że wrócisz do mnie…

Widzę ją jak za mgłą, ale to ona.

Moja Harriet.

To ja zasnąłem za kierownicą? To ja tak nagle hamowałem? Nie pamiętam… Może tę ziemię na szybie i kawałki lodu? Boli mnie…

Widzę lampę z niebieskawym światłem i słyszę szum monitorów. Powolne odliczanie mojego pulsu, który teraz przyspieszył.

To ja hałasuję.

To moje życie hałasuje.

Widzę kobietę w białym fartuchu, nachyla się nade mną, a potem coś wstrzykuje do przezroczystego worka, który wisi z prawej strony, i łagodnie odpływam tam, gdzie relacje przestrzenne się rozpadają, i nie wiem, co będę pamiętał.

I o czym kiedyś ci opowiem.

Kiedyś – usprawiedliwia każdą obietnicę.

Więc nie kiedyś, jutro, pojutrze.

Tylko teraz utulają mnie do snu… i przez ten wczesny sen słyszę jej głos:

– Whitman, nie bój się, będę tutaj, kiedy się obudzisz…

Więc jednak żyjemy w cieniu słońca.